Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/przygodyposzukiw0000vari

IV, I, 18, ~~29~~ 32

2b

Przygody poszukiwaczy złota

na północnym krańcu Ameryki

Opowiadanie dla ludu polskiego

Wydanie drugie

Przedruk wzbroniony

GRUDZIĄDZ 1922

Zakłady Graficzne Wiktora Kulerskiego (Gazeta Grudziądzka)

Polnisch in Polen

Wstęp.

Złoto...

Słowo to posiada bardzo wielki urok dla ludzi.

Ale bo też złoto jest kruszcem pięknym i szlachetnym. Możnaby prawie powiedzieć, że jest królem pomiędzy kruszcami, podobnie jak lew między zwierzętami ssącemi, orzeł między ptakami, a róża między kwiatami.

Złoto jest też kruszcem drogocennym. Wartość jego ceniono wysoko już w czasach starożytnych. Świadczą o tem wykopaliska ze szczątków pałacy możnowładców, w których znaleziono znaczną ilość naczyń i innych sprzętów ze złota. Wiadomo też, że po odkryciu Ameryki Hiszpanie wywieźli ztamtąd, a mianowicie z Meksyku, kraju inków, całe ładunki okrętowe takich kosztowności. Wreszcie i w naszych czasach ugania się prawie każdy za złotem, z którego się bije monetę, i wyrabia różne cenne przedmioty, służące do ozdoby lub użytku bogatych.

Tak, żądza złota jest nieomal znamienną cechą naszych czasów. Przed złotym cielcem świat się kłania. Złoto daje wygodne życie, wpływ, znaczenie i potęgę. Dla nabycia złota niejeden nawet zaprzedaje swą duszę. Gotów w tym celu popełnić czyn nieuczciwy, hańbiący, jak oszustwo i kradzież. Gazety o tem codziennie donoszą. Ba, ludzie nie cofają się czasem nawet przed najstraszniejszą zbrodnią,

byleby tylko dostać się w posiadanie pieniędzy bogactw — złota.

Dla wielu ludzi stało i staje się złoto przyczyną nieszczęść i zguby. Jakby jakiś szał ogarnął ludzi. Wszystko na oślep tam dąży, gdzie spodziewa się znaleźć upragnione złoto, czyni to, co zdaje mu się zapowiadać złote zyski.

Krótko mówiąc, słowo „złoto“ elektryzuje niejako ludzi. Złoto czarodziejską jakby siłą nęci i przyciąga do siebie ludzi.

Pokazało się to też w sposób nader silnie bijący w oczy przed niedawnemi laty.

W północno-zachodniej części półwyspu Alaski, w Półn. Ameryce, należącym do Stanów Zjednoczonych, oraz na sąsiednich obszarach angielskich posiadłości w Kanadzie znaleziono obfite mnóstwo złota bądź to w większych kawałkach w górach i ziemi, bądź też wielkości ziarn i piasku w tamtejszych rzekach. Wtedy zaczęły do tamtejszych bardzo odległych stron, mimo dzikiej jeszcze przyrody i zimna, mimo braku dróg i środków komunikacyjnych, mimo trudów i uciążliwości podróży, spieszyć tłumy żądnych złota ludzi nietylko z samej Ameryki, lecz i z różnych krajów europejskich.

Wielu sprzedawało na prędce swe posiadłości i dobytek, aby zaopatrzyć się w pieniądze na drogę i dla opędzenia na pewien czas kosztów utrzymania. A wielu było i takich, którzy dążyli do tego obiecanego kraju z gołemi rękoma, w nadziei, że szczęście im będzie sprzyjało i wnet dorobią się upragnionego bogactwa. W niemałej części rekrutowały się zastępy wędrowców z tak zwanych szumowin społeczeństwa. Wybierali się tam

tacy, którzy, jak się to mówi, nie mieli nic do stracenia. Szli ludzie, którym w stronach ojczystych było już za duszno, lub przestępcy i zbrodniarze, chcący ukryć się na dalekiej obczyźnie, gdzie w braku ścisłej kontroli policyjnej ginęli w ciżbie obcych ludzi tak, że ręka karzącej sprawiedliwości dosięgnąć ich nie mogła. Dalej nie zbywało na takich, których pchała do Alaski i Kanady żądza silniejszych wrażeń i przygód oraz urok nowości. Wreszcie zamierzał niejeden w mętnej wodzie ryby łowić i okradłszy współpracujących, czemprędzej z łupem swym się ulotnić.

Wobec tak różnorodnego zbiorowiska ludzi ze wszystkich niemal zakątków świata i tylu niesfornych lub wprost do szpiku kości zepsutych żywiołów, stosunki w tym złotym raju bywały często bardzo okropne. Nikt nie był pewnym swego życia i mienia, o które każdej chwili lękać się było trzeba. Wielu ludzi znajdowało rzeczywiście wiele złota, innym zaś ciężka praca nie przynosiła nawet tyle, żeby módz się wyżywić. A tu handlarze środków żywności, odzieży itp. za swe towary bajecznie wysokie brali ceny. Rozrzutność, hulanki, gra w karty itp. rujnowały jednych, którzy garściami rozrzucali złoto i zapracowane pieniądze. Innych trapiła nędza, choroby i kłopoty.

Tylko ludzie uczciwi, pracowici, trzeźwi i oszczędni dochodzili do celu. Wielu marniało, ginęło. Febra złota stawała się przyczyną ich zguby. Ale nie odstraszyło to innych Coraz to nowe tysiące wychodźców płynęły gęstą falą do tej rzekomo błogosławionej ziemi, aby tam znaleźć wymarzone szczęście, lub wręcz coś innego, bo nędzę, upadek i zatratę.

Do rzędu pierwszych, a więc szczęśliwszych, należało grono poszukiwaczy złota, z którymi w niniejszej powieści zaznajomić się mamy.

Ale i oni niełatwo do tego celu doszli. Życie ich w tamtejszych stronach było, jak zobaczymy, twarde, praca ciężka, niewygody straszne, przygody niebezpieczne. Ale koniec ich usiłowań pomyślnym został uwieńczony skutkiem, gdyż byli to ludzie uczciwi, których zamiarom szczęście widocznie sprzyjało.

Uchwalona wyprawa.

Było to właśnie w połowie kwietnia.

W jednej z zajezdnych oberż miasteczka Selkirk, położonego nad górnym biegiem rzeki Yu kon, spotykamy czterech mężczyzn.

Przybyli dotąd, i to w dwóch osobnych partyach, dopiero przed kilku dniami i stanęli w swej zwykłej oberży.

Wrócili zaś z Kanady. Polowali tam przez dłuższy czas, aby zebrać spory zapas skór i futer. Wyprawa nie była też daremną. Przywieźli bowiem obfitą swą zdobycz myśliwską na wielkich saniach, które ciągnęły psy, do tego miasteczka i sprzedali w pewnem wielkiem towarzystwie handlowem.

Nie brakło im więc grosza.

— Cóż teraz poczniemy dalej? — zapytał w toku rozmowy około 50-letni barczysty mężczyzna, nazwiskiem George White. — Czy wrócimy do swoich, do domu, aby tam w gronie rodziny wypocząć po przebytych trudach?

Tu spojrzał ciekawie na Roya Sibersa, urodziwego i pełnego życia młodzieńca.

Był to jego daleki krewny, który mu towarzyszył w ostatniej wyprawie łowieckiej.

Ale Roy nic nie odpowiedział. Nawet z miny jego nie można było wyczytać, czy pragnie wracać do rodziców, czy też może inne żywi zamiary i życzenia.

Tak samo miała się sprawa z drugim młodym człowiekiem, który znajdował się w ich towarzystwie.

Był to John Hastings.

Rodzice jego posiadali w jednym z dalszych stanów Północnej Ameryki pokaźną

farmę. Ale chociaż był jedynakiem i ojciec pragnął, aby za jego wzorem poświęcił się rolnictwu, ognistej natury młodzieniec nie mógł usiedzieć na miejscu. Przynajmniej na jakiś czas chciał zamienić wygodniejsze ale zbyt jednostajne życie w domu na obfitujące w przygody życie trapera czyli polującego na zwierzynę dla cennych futer. W tym celu przyłączył się za uzyskaną ostatecznie zgodą ojca do tegoż dawnego znajomego, Williama Fermana, który już od całego szeregu lat uprawiał zawód trapera i uchodził za bardzo zdolnego i doświadczonego w tym rodzaju procederze człowieka.

W tej chwili nie wiedział i młody Hastings, co odpowiedzieć na pytanie, stawione przez Georga Whitego.

Milczał.

Milczenie ogólne jednak niedługo trwało.

Przerwał je niebawem Ferman, który wychyliwszy ze swego kieliszka, spory łyk wódki, tak się odezwał:

— Kochani przyjaciele! Mam już co do naszej przyszłości gotowy plan w głowie, który wam teraz obwieścić sobie pozwolę.

Oto jestem temu przeciwnym, żeby już teraz wracać do domu. Chociaż w kabzie mamy skutkiem dość szczęśliwego wyniku łowów dość ładną sumkę dolarów, to jednak na nie długo to starczy. W każdym razie nie jest to majątkiem. Byłbym więc za tem, żeby przedsięwziąć coś takiego, co mogłoby nam przynieść daleko większe zyski jak nasze traperstwo, a może nawet przyczynić się do tego, że staniemy się ludźmi bogatymi...

— A cóż to takiego być może? — przerwano mu prawie jednogłośnie.

— Tylko trochę cierpliwości, a zaspokoję waszą ciekawość. Właściwie jednak dziwię się, że moich myśli sami odgadnąć nie możecie. Przecież wszędzie tu teraz głośno o znalezieniu złota w Alasce i pogranicznych jej okolicach Kanady. Już tam pewna ilość ludzi poszukuje tego cennego kruszcu, a wielkie masy innych wybierają się w tamte strony. Dlaczego więc i my nie mielibyśmy spróbować szczęścia? A może nam się uda, jak się to mówi, schwycić je za czuprynę. Jeżeli zaś nagromadzimy całe kupy złota, to i rodzinom naszym się to przyda. Byłoby to hojnem odszkodowaniem za ich tęsknotę z powodu długiej z nami rozłąki. Moje poczciwe babsko z pewnością mi to wybaczy, chociaż ckliwo jej tam będzie bezemnie.

Na te słowa aż się zaiskrzyły oczy słuchających. Żądza nabycia złota wszystkich ogarnęła.

White zaś rzekł:

— Kapitalny to pomysł. W każdym razie warto się nad nim zastanowić. Tylko gdyby nie te uciążliwości podróży i tak ciężka na miejscu praca!

— To prawda — odparł Ferman — że tam po różach stąpać ani bezczynnie rąk zakładać nie można. Ale my przecież wszyscy przyzwyczajeni jesteśmy do borykania się z trudami i przeciwnościami oraz do twardej i ciężkiej pracy. Więc wzgląd na to nie powinien nas odstraszać.

— Dla mnie — zauważył Hastings — ma to nawet wielki powab. Z całego więc serca przyklaskuję myśli, którą rzucił nasz towarzysz Ferman.

— Ja także gotów jestem iść z wami — dodał Sibers, który zaprzyjaźnił się był szczerze z rówieśnikiem swoim i nierad był z nim się rozstawać. — Pragnąłbym nawet wyruszyć jak najprędzej do owej krainy złota, gdyż lubię nadewszystko nowość i przygody.

Widząc gorący zapał reszty, i White oświadczył swą zgodność z ich zamiarami.

Ale tak szybko, jak młodzi pragnęli, owa wyprawa nie dała się uskutecznić. W okolicach, o które chodziło, panowały o tym czasie jeszcze ostre mrozy i leżały wielkie śniegi. Trzeba więc było zaczekać do maja, ażby lody na rzekach spłynęły, gdyż przeprawę wodą uważać należało za najszybszą i najwygodniejszą.

Do tego wypadało poczynić różne przygotowania do drogi, mianowicie zakupić znaczniejszy zapas żywności, gdyż na odludnem miejscu, do którego dostać się mogli, byłoby może trudno wogóle je nabyć. W każdym zaś razie okropna tam panowała drożyzna.

O tem wszystkiem powiadomiony już był doskonale Ferman, który od osób, znających odnośne stósunki, zasięgnął był dokładnych informacyi.

Do jego też praktycznych rad i wskazówek całe grono naszych znajomych stósować się postanowiło.

Na dziś zakończono rozmowę. Był już czas na spoczynek.

Jakby na potwierdzenie i przypieczętowanie swej ugody, trącono jeszcze wspólnie kieliszkami i podano sobie silne dłonie. Potem wszyscy udał się na spoczynek.

Następnego dnia popisali wszyscy listy do domu z doniesieniem o swem postanowieniu. Wysłali też do swych rodzin pieniądze, zatrzymując przy sobie tylko tyle, ile potrzeba było na opędzenie potrzebnych wydatków na urządzenie wyprawy i na pierwszy czas pobytu w dalekich stronach, do których się wybierali.

Następnie zaczęli wszyscy krzątać się pilnie około poczynienia stósownych przygotowań do podróży.

Zakupili kilka worków mąki i spory zapas konserwów, kilka potężnych połci słoniny, sporo kawy i herbaty, miech soli, kilka baryłek wódki itp.

Naturalnie nie zapomniano też zaopatrzyć się w silne czołno i narzędzia i przybory, przydatne do czekającej ich pracy.

Wreszcie nabyto też dwa silne psy, które chciano zabrać z sobą. Psy bowiem, które przyciągnęły ich sanie do miasteczka Selkirk, już na samym początku, uważając je wtedy jeszcze za niepotrzebne, sprzedali.

Początek podróży.

W pierwszych dniach maja zaczęto wszystko pakować na czołno.

Rzeka Yukon była już po części wolna od kier lodowych, więc chciano się spiesznie puścić w drogę. Raz dlatego już, ponieważ pora letnia na Alasce trwa tylko kilka miesięcy, a powtóre zalecało się stanąć na miejscu prędzej, aznim pojawiłyby się tam liczne rzesze innych poszukiwaczy złota. W takim bowiem razie liczyć można było na to, że uda się wybrać sobie do poszukiwań lepszy i donośniejszy kawał gruntu.

Ale zaraz na wstępie podróż ta dała się naszym znajomym nieźle we znaki.

Mówiliśmy, że rzeka Yukon była o tej porze po części już wolną od kier łodowych. Tak, tylko po części, gdyż jeszcze dość gęsto płynęły z wodą kry mniejszych lub większych rozmiarów. A to utrudniało żeglugę tak dalece, że czasami zmuszała konieczność wyciągania czołna na ląd, aby je uchronić od rozbicia lub porwania przez ciężkie kry lodu.

Na szczęście stan ten nie trwał długo. Już po kilku dniach lody pod wpływem coraz silniej grzejących promieni słonecznych prawei całkiem zginęły.

Teraz mogło się czołno daleko raźniej w kierunku swego przeznaczenia posuwać.

Pewnego dnia zauważyli nasi podróżni jakiś zwiększony znacznie szelest i łoskot, który woda w rzece sprawiała. Zrobili też spostrzeżenie, że płynie o wiele szybciej jak dotąd.

Cóż było powodem tego zjawiska?

Oto skaliste krawędzie gór Rocky-Mountains zwężały coraz bardziej dolinę rzeki Yukon, która jednakże w kierunku zachodnim nieco szersza się stawała.

Wnet też ujrzeli, że z owej strony płynie jakaś mniejsza rzeczka, która nieco poniżej wpada do Yukonu.

Prędko więc skierowano czołno do owej rzeczki i wylądowano na północnym jej brzegu.

Był już najwyższy czas po temu. Bo po bliższem zbadaniu wykazało się, że Yukon, skutkiem wcinającej się weń odnogi góry, tworzy tam silny wodospad. Czołnu groziło więc w owem miejscu niechybne rozbicie i zatonięcie.

Swoją drogą tworzyły spadające z wielkim łoskotem z góry w głęboką przepaść masy wody, bardzo piękny widok.

Nasi podróżni stali długo jak wryci na tem miejscu, napawając nim swój wzrok. A w duszy im coś szeptało: Dzięki Ci Boże, że ocaliłeś nas z tego niebezpieczeństwa!

Po chwili nowy kłopot ich zaniepokoił. Nie wiadomo, jak sobie teraz postąpić.

Ale doświadczony Ferman wnet i na to znalazł radę.

Zastanowił się trochę, poczem rzekł:

— Tylko nie traćmy głowy. Dyabeł nie taki czarny, jakim go malują. Po prostu wrócimy na miejsce, gdzie uwiązaliśmy nasze czołno i przenocujemy tamże. Jutro rano zaś przeniesiemy cały ładunek jak również czołno aż poniżej wodospadu. Tam spuścimy znów czołno na wodę, napakujemy na nie cały ładunek i dalej pójdzie jazda na rzece.

Łatwo było wymówić te słowa, ale wykonanie tego zadania było arcytrudne. Tem więcej, ponieważ brzeg był wysoki, skalisty i bardzo wąski, a odległość aż do stósownego punktu wynosiła dwa kilometry z okładem.

Nie można się jednak było ociągać.

Dziarska nasza wiara wzięła się też niebawem rączo do dzieła. Potężne ramiona, szerokie barki i krzepkie nogi spełniły znakomicie swą powinność.

Ciężko było coprawda i pot kroplisty spływał z czoła dźwigających, lecz ostatecznie wszystko bez szwanku znajdowało się na upatrzonem miejscu.

Transport ten zabrał, rzecz jasna, bardzo dużo czasu. Było już pod wieczór, gdy się z nim załatwiono.

Na dziś było dosyć roboty. Wszyscy byli znużeni i głodni. Przyrządzono więc naprędce skromną wieczerzę, aby zaspokoić głód, który wszystkim dotkliwie dokuczał.

Gdy się to stało, zapalili nasi podróżni fajki i przysiadłszy około rozniecionego ognia, gwarzyli z sobą jeszcze przez krótki czas.

Pogadanka dotyczyła nie tylko tego, co podczas obecnej krótkiej podróży przeżyli. Myśli ich zwracały się także do drogich ich sercu osób, które het daleko w domu pozostały. Wszak głównie ze względu na ich dobro zdecydowali się na tę daleką wędrówkę.

Ta świadomość napawała ich spokojem i wewnętrzne rodziła w nich zadowolenie. Wzmacniała ich także na duchu, potęgowała energię i pobudzała do wytrwałości na obranej drodze, chociaż już sam jej początek dość przykro odczuć im się dawał.

Taki to potężny wpływ wywiera na człowieka miłość i pragnienie przysłużenia się tym, których się kocha.

Wreszcie znużone całodzienną pracą powieki klcić się poczynały. Powiedziano sobie „dobra one“ i ułożono się do snu. Natura domagała się natarczywie swego prawa. Po wytężającej mitrędze musiał nastąpić wypoczynek.

Ale przedtem każdy zmówił pobożnie modlitwę wieczorną.

Ludzie ci byli z gruntu religijni. Chociaż tak długo obracali się w odludnych okolicach, gdzie nie było ni kościoła ni duchownych, pamiętali dobrze o tem, że dola ludzka zależy od błogosławieństwa i pomocy boskiej, o które kornie prosić należy.

Niespodziani towarzysze.

Następnego poranku wstali wszyscy orzeźwieni i pokrzepieni na siłach.

Zabrali się zaraz po spożyciu śniadania rączo do pracy. Trzeba było bowiem przetransportowane tu wczoraj zapasy ulokować na spuszczonem znów na wodę czołnie.

Podczas tego zajęcia rozległ się nagle donośny odgłos strzału z karabinu.

Ponieważ nasi znajomi dotąd w tej dzikiej i pustej okolicy żadnych ludzi nie spostrzegli, niemało ich to zdziwiło. Postanowili natychmiast zbadać, zkąd ów strzał mógł pochodzić i do kogo był wymierzony.

Wysłany na zwiady młody Roy Sibers, wdrapał się spiesznie na strome wywyższenie nadbrzeżne, zkąd dość daleki roztaczał się widok. Zabrał jednak z sobą na wszelki przypadek swą strzelbę. Taką dał mu radę przezorny zawsze Ferman.

Po upływie kilku minut usłyszała reszta towarzystwa, która była pozostała przy czołnie, głośne wołania ze strony Roya.

W pierwszej chwili zdjął ich niemały lęk. Przypuszczali bowiem, że dzielny młodzieniec znalazł się w niebezpieczeństwie życia. I to tem więcej, ponieważ niebawem padł drugi strzał.

Wszystko więc pędem pobiegło w kierunku, z którego strzał pochodził. Wszystkich jednak wyprzedził John Hastings, który był nietylko najmłodszym z pędzącej jak na zabój grupy, lecz oprócz tego odznaczał się wielką szybkością nóg swoich. A chęć ratowania może w potrzebie Roya, z którym bardzo się polubili, pospiech jeszcze podwajała.

On też najpierwszy stanął na miejscu.

Oczom jego dziwny przedstawił się widok.

Johnowi na szczęście nie zagrażało niebezpieczeństwo. Ale tuż obok niego leżał z przestrzeloną lewą nogą młody jakiś Indyanin. A w oddali widać było czeredę uciekających czerwonoskórych.

Do nich to był strzelił Roy i tak się tłómaczył ów drugi strzał.

Byli jednak już zbyt daleko, więc kula nikogo nie trafiła i łotrzy uszli bezkarnie.

Tak, łotrzy.

Bo oni to postrzelili młodego Indyanina, którego Roy od niechybnej ocalił śmierci.

A kim był ów raniony młody Indyanin?

Był synem naczelnika indyjskiego plemienia Crow. Wioska tegoż plemienia znajdowała się bardzo znaczny kawał drogi od miejsca, na którem rannego tu spotkano.

Młodzieniec, imieniem Muramba, wybrał ię w towarzystwie zastępu podwładnych jego ojcu ludzi na łowy. Ale jak to u młodych ludzi bywa, w zapale myśliwskim pozostawił swe otoczenie w tyle, i sam ze swą strzelbą kroczył dalej. Wtem znalazł ślady niedźwiedzia. Teraz już zapomniał o całym świecie i puścił się chyżo tym śladem, oddalając się coraz więcej od swoich.

Właśnie zoczył potężną niedźwiedzicę i miał do niej wypalić.

Lecz stało się coś wręcz innego.

Z pobliskich gęstych zarośli padł strzał, a Muramba, ugodzony kulą w nogę, runął na ziemię, wydając z siebie głuchy jęk boleści.

Czerwonoskóry młodzieniec zawdzięczał to ciężkie okaleczenie własnym swym ziomkom.

Należeli oni do innego, chytrego i złego

plemienia sąsiedniego, Ribbet, które z uczciwem i spokojnym plemieniem Crow, podległem ojcu Muramby, oddawna w krwawej żyło rozterce.

Przypadkiem i owa czereda łotrów znajdowała się obecnie w tej samej okolicy na polowaniu.

Gdy ujrzeli samotnego Murambę, niegodziwy naczelnik chciał go znienacka zgładzić ze świata. Porwał za strzelbę, wycelował i pociągnął za kurek. Strzał padł, ale chybił o tyle, że nie zabił Muramby, lecz trafił go w nogę, ciężką wprawdzie, lecz nie śmiertelną zadając mu ranę.

I tu szczęśliwy traf ważną odegrał rolę.

Właśnie bowiem w tej chwili, gdy napastnik z bezpiecznego ukrycia strzelał do nieprzeczuwającego nic złego Muramby, ukłół go jakiś owad w rękę. Skutkiem tego ręka mu lekko drgnęła i strzał skierował się o wiele niżej. Inaczej byłby naczelnik Ribbetów z pewnością celnym strzałem na miejscu uśmiercił znienawidzonego młodzieńca.

Jeżeli zaś napastnik nie strzelił po raz drugi, to dlatego, że orlim swym wzrokiem zauważył Roya Sibersa, wdrapującego się na owe nadbrzeżne wzgórze i z tego wnioskować musiał, że tam znajduje się więcej białych i ci niezawodnie Murambie na pomoc pospieszą.

Przed białymi zaś miał zbyt wielki respekt. Wolał więc ze swymi czemprędzej uchodzić, aby się z nimi nie zetknąć, gdyż mu to nic dobrego nie zapowiadało.

Skutkiem tej spiesznej ucieczki był strzał, który ze swego karabinu do łotrów dał dzielny Roy, jak to już wiemy, całkiem bezskuteczny.

Ale zawsze był on zbawcą Muramby, gdyż pojawienie się jego spłoszyło groźnych napastników.

W tej chwili zastajemy całe grono naszych znajomych obok ciężko rannego Indyanina.

Każdy, jak mógł, krzątał się, aby mu przynieść jakowąś ulgę w cierpieniu.

Ferman, który znał się najlepiej na takich rzeczach, zbadał dokładnie przestrzeloną nogę i rzekł z zadowoleniem:

— Na szczęście kość nie została rozbitą i złamaną. Kula przeszła przez ciało, a tylko lekko nadwerężyła kość. Jestem pewnym, że przy należytej pielęgnacyi rana zupełnie się zagoi.

— Ale zkądże tu w tych dzikich stronach o należytej pielęgnacyi mowa być może! — zauważył White. — Biedak chyba zmarnieje w opuszczeniu, boć i do domu, do swoich, w tym stanie dowlec się nie zdoła.

Naturalnie, że go tu nie pozostawimy samego na pastwę losu. Zabierzemy go z sobą do Dawson-City. Na czołnie naszem znajdzie się dość miejsca dla niego. A gdy się wyleczy, może wracać do ojca.

Ledwie Ferman wymówił te ostatnie słowa, aliści rozległy się w pobliżu groźne okrzyki wojenne. Grono Indyan, liczące kilkanaście ludzi, spieszyło do miejsca, w którem znajdowali się nasi. Karabiny strzymali w pogotowiu do strzelania.

— Muramba! Muramba! — wołali bez przerwy.

Ranny zwrócił się wtedy w kierunku do swych ziomków sądzących, że to biali go postrzelili i w moc swą dostali i uspokoił ich.

Wyjaśnił im, że raczej niegodziwi sąsiedzi ich plemienia wyrządzili mu tę krzywdę, biali zaś zaopiekowali się nim w niedoli. Należy im się więc za to wdzięczność.

Te słowa młodzieńca podziałały też skutecznie na zaniepokojonych w najwyższym stopniu Indyan.

Usłyszeli bowiem po oddaleniu się od nich Muramby, strzał karabinowy. Nie mając pewności, czy strzelił do zwierza, czy też może co innego zaszło, zaczęli go spiesznie szukać. Ale straciwszy ślad, kręcili się w kółku, a odnaleźć go nie zdołali. Wtem padł drugi strzał. Zaniepokoiło ich to jeszcze więcej. Ale teraz już w lepszym posuwać się mogli kierunku. I otóż znaleźli syna swego naczelnika. Bez niego nie śmieli by wrócić przed oblicze ojca.

— A jednak — rzekł Ferman — musicie na razie bez Muramby wracać do domu. My bowiem zabierzemy go z sobą do Dawson-City, ale to w najlepszym zamiarze, aby się tam jaknajprędzej mógł wyleczyć. Skoro to nastąpi, i on wróci do ojca. Powiedzcie o tem naczelnikowi.

— Tak — dodał Muramba — opowiedzcie ojcu memu o wszystkiem co tu zaszło. Niechaj się o mnie nie lęka. Ja w dobrym znajduję się ręku. Mam do tych białych zbawców moich zupełne zaufanie. Pozdrówcie też ojca serdecznie odemnie.

Po tych słowach pożegnali się Indyanie czule z Murambą i oddalili się, aby wrócić do swej wioski.

Biali zaś spieszyli się, aby rannego przenieść do swego czołna.

Młodzi nasi ludzie, Roy i John, pobiegli do owych zarośli, zkąd to poprzednio padł strzał, raniący Murambę. Tam nacięli gałęzi i spory pęk przynieśli do swoich.

Z nich to upleciono na prędce rodzaj noszy. Położono wtedy na nie rannego, podsunąwszy pod głowę liści, aby leżało mu się wygodniej.

Następnie czwórka nasza uchwyciła za wszystkie cztery rogi noszy i ostróżnie uniósłszy je w górę, z żywym ciężarem zwróciła się ku rzece.

Nie trwało też zbyt długo, a pochód stanął przy czołnie.

Natychmiast zabrano się do opatrzenia rany czerwonoskórnego pacyenta. Nie zbywało zaś na potrzebnych do tego rzeczach.

Ferman obmył z pomocą Wite'a dobrze ranę czystą wodą. Potem pomazał ją delikatnie jakąś gojącą maścią, a wreszcie nałożyli na nią szarpii i obandażowali.

Rannemu przyczyniło to widocznie ulgi. Chociaż skutkiem dość znacznego upływu krwi i doznanych bólów był mocno osłabiony, teraz przyszedł więcej do siebie, spoglądał nieco weselej i gwarzył z otaczającemi go osobami.

— Rana byłaby na razie opatrzoną — odezwał się teraz White. — Ale pewnie i posiłek potrzebny będzie choremu, aby się trochę pokrzepił na siłach.

Uwagę tę i Ferman, który odgrywał tak gorliwie rolę lekarza, że o posiłku zapomniał, uznał za słuszną.

Kazał więc młodym rozniecić ogień i zagotować wody do herbaty. Sam zaś ukrajał spory kawałek słoniny, wydobył kilka sucharków i podał choremu.

Muramba spożywał te dary z dobrym apetytem.

Był to znak bardzo pomyślny, to też Ferman aż ręce z radości zacierał. Mruczał też poczciwiec pod nosem.

— Jakoś to będzie... Młody i krzepki, do tego syn dzikiej przyrody, to się wnet wyliże... A musi mieć poczciwe serce, bo tak wdzięcznie na nas spogląda... Zawszeć to bliźni, choć ma czerwoną skórę... Obowiązek chrześciański nakazuje w nieszczęściu wspomagać... Jakoś to będzie...

— Jakoś to będzie...

I Ferman odczuwał jakieś wewnętrzne zadowolenie, błogie jakieś uczucie na myśl, że spełnia przykazania miłości bliźniego.

O, gdyby ci wszyscy, którzy posiadają serce twarde jak głaz, którzy troszczą się je-

dynie o siebie samych, a których nędza bliźniego nie obchodzi, nie wzrusza, gdyby tacy, chociażby raz tylko odczuli to szczęście, jakiem darzy świadomość czynienia innym dobrze, z pewnością by się na lepsze zmienili!

Po tym posiłku usadowiono rannego na samem czołnie.

Roy i John przygotowali dlań w tym celu dość wygodne posłanie z futer i kołder.

Muramba mógł się na niem wyciągnąć jak długi, co dla chorej jego nogi bardzo się zalecało.

Wreszcie włożono do czołna i resztę pakunków, które skutkiem znanego strzału pozostawiono na brzegu.

Teraz było wszystko gotowe do odjazdu.

W imię Boże wyruszyła też nasza drużyna w dalszą drogę.

Nie upłynęli jeszcze daleko, a usłyszeli za sobą głośne wołanie, i to we własnym swym języku angielskim.

Wnet też ujrzeli na wysokiej krawędzi brzegu mężczyznę, który wymachiwał żywo ręką, jak gdyby im dawał sygnały.

Skutkiem tego przybili do brzegu, a z czołna wyszli na ląd obaj starsi, Ferman i White.

— Ktoś ty za jeden? — zapytali.

— Amerykanin, jak i wy — brzmiała odpowiedź.

— A dokąd dążysz?

— Tam, dokąd i wy niezawodnie spieszycie. Do krainy złota.

— I to tak samotnie, w pojedynkę w tak daleką drogę!

— Ano, może to i niezbyt rozsądnie z mej strony. Ale jako śmiałek i bywalec

na świecie, postanowiłem na własną rękę szczęścia spróbować. Z Selkirk ma wprawdzie wyruszyć wnet większa ilość poszukiwaczy złota. Ale nie miałem do nich zaufania, bo to, jak się zdaje, włóczęgi i hultajstwo ze wszystkich stron świata. Więc nie czekałem na nich, tylko ich wyprzedziłem. Ale ciężka to jednak przeprawa i kto wie, czybym sam żywy dostał się do celu. Ujrzawszy więc wasze czołno, przyspieszyłem kroku i wołać was poczęłem. Coś mi we wnętrzu mówiło, że będę miał do czynienia z ludźmi uczciwymi. I już wasze oblicza to potwierdzają. Proszę was, zabierzcie mnie z sobą. A nie będziecie mieli czego żałować. Nazywam się Charles Buthley. Przez długie lata pracowałem jako górnik w kopalniach złota, więc znam się doskonale na tej pracy i może wam się przydam. Spełnicie w ten sposób dobry uczynek wobec bliźniego, ale ja będę się wam za to starał odwdzięczyć.

White i Ferman wysłuchali uważnie słów obcego. Potem spojrzeli sobie krótko w oczy.

Zrozumieli się. I jeden i drugi byli za tem, żeby Buthleya zabrać z sobą.

Wszak sił ludzkich do pomocy będzie nam tam pewnie trzeba — myśleli. — A doświadczony górnik może być bardzo cenną pomocą. Nie jest bowiem wykluczonem, że przyjdzie nam rozbijać skały i zakładać miny w górach, aby wydobywać upragniony kruszec złota.

Nie tracąc więc wiele słów, oświadczyli Buthleyowi gotowość przyjęcia jego propozycyi.

Przyrzekli mu też w razie pomyślnych rezultatów pracy stosowny udział w zyskach.

Układ więc wypadł ku zobopólnemu zadowoleniu.

A i John i Roy radzi byli temu niespodzianemu nabytkowi. Nowy towarzysz wywarł bowiem i na nich dobre wrażenie.

Na wysokiej krawędzi brzegu ujrzeli mężczyznę...

To też wszyscy trącili w kieliszki, aby na potwierdzenie ugody popłókać gardło łykiem wódki.

U celu.

Podróż wodą trwała jeszcze prawie tydzień.

W tym czasie nie wydarzyło się naszym znajomym nic osobliwszego, a drobniejszych

szczegółów tej podróży opisywać nie będziemy.

Ograniczamy się więc tylko na zaznaczeniu, że stan zdrowia Muramby znacznie się polepszył. Pielęgnowano go z prawdziwą pieczołowitością, to też rana pięknie się goić poczęła. A i sił z każdym dniem choremu przybywało.

Opowiadania jego o ojcu i wiosce jego plemienia, o walkach staczanych ze złymi sąsiadami, o ciekawych łowach, były miłem urozmaiceniem tej dość jednostajnej i nudnej żeglugi.

Nareszcie — było to około południa siódmego dnia podróży — przybyło czołno do miejsca, w którem rzeka Klondyka, nieco poniżej miasta Dawson-City, wpada do rzeki Yukon.

Nasi byli więc u celu.

Nic dziwnego więc, że pragnęli poznać jaknajprędzej chociażby tylko pobieżnie nowe miejsce swego pobytu.

Zaczęli się przeto ciekawie rozglądać na wszystkie strony.

Po obu brzegach rzeki Klondyki ciągnął się dość długi szereg chat, zbitych z prostych desek. Mieszkali w nich przybysze, którzy na wieść o znalezieniu w tej okolicy złota, czemprędzej dotąd pospieszyli.

Liczba ich wynosiła obecnie kilka set. Lecz nie podlegało wątpliwości, że w najbliższych już tygodniach i miesiącach wzrośnie do kilku tysięcy.

Znajomi nasi pod wodzą Fermana i z pomocą Buthleya wybrali sobie stosowne do wylądowania miejsce. Wylądowano też nie-

bawem z łódki wszelkie przywiezione z sobą rzeczy. Ale mianowicie zapasy żywności należało uchronić od zepsucia. A i o chorym trzeba było pamiętać. Wszak nie mógł zbyt długo pozostawać pod gołem niebem.

Pierwszą więc czynnością, którą na pewnem miejscu trzeba było wykonać, było pobudowanie chat.

Już przy tej sposobności okazało się, jak praktycznym i wielce przydatnym człowiekiem był Buthley.

Nie zwlekając ani chwili, poszedł między osadników, pogadał z nimi i wrócił niebawem z wiadomością, że dwie chaty są wolne. Mieszkańcy ich bowiem, nie znalazłszy tu szczęścia, dalej się wynieśli.

Owe chaty mogli więc nasi przybysze na razie zająć.

Mieli więc na tę noc, a może i na następne dni pewne schronienie, dopóki nie wybiorą sobie miejsca do szukania złota.

Najprzód przeniesiono do jednej z chat zapasy żywności. Dla zabezpieczenia ich od kradzieży miał w niej nocować White i krewny jego, młody Roy.

Drugą chatę przeznaczono dla reszty przybyszów. Umieszczono w niej rannego Murambę. Oprócz tego usadowili się w niej Ferman i John oraz Buthley.

Było tym ostatnim w szczupłej chacie, którą właściwie raczej budką nazwać by można, nieco ciasno. Ale nie tracili dobrego humoru.

— I to już dobrze — mówił Buthley — że mamy wogóle dach nad głową. A im ciaśniej, tem cieplej nam będzie.

— Niema więc złego — wtrącił John — któreby na dobre nie wyszło.

I całe grono naszych znajomych spało bardzo dobrze.

Nawet Muramba prawie wcale się nie budził, lecz spał nieledwie bez przerwy. Bo boleści z powodu swej rany już nie odczuwał, chyba tylko wtedy, jeżeli się przypadkiem uraził. Ale brano na niego taki wzgląd i tak go ochraniano, że pomimo szczupłego miejsca w chacie, wcale się to nie wydarzyło.

Nadszedł poranek.

Zdrowi prędko wstali. Tylko młody Indyanin pozostał na swem legowisku.

Przyrządzono śniadanie. A następnie odbyła się wspólna narada, co teraz w pierwszym rzędzie uczynić należy.

— Musimy naturalnie wybrać sobie kawał gruntu, na którym byśmy nasze poszukiwania za złotem rozpocząć mogli.

Tak odezwał się pierwszy Ferman.

A White przyznał mu słuszność.

Tymczasem, doświadczeńszy od nich w tych sprawach Buthley, wystąpił z następującą uwagą:

— Kawał gruntu w tym celu wybrać sobie możemy. Naturalnie tylko taki, który jest jeszcze wolny i nie ma nad sobą właściciela. Ale na wydobywanie zeń złota lub innych kruszczów, potrzebne jest zgłoszenie go u władzy. Płaci się też za to udzielenie potwierdzenia pewien podatek. A taki, przyznany komuś urzędowo i opłacony kawał gruntu, nazywa się „klem“. Dopiero wtedy, jeżeli się te przepisy wypełni, ma się przywilej pracowania na swym klemie. A ktoby nieprawnie do niego wtargnął i chociażby

drobną tylko część tegoż sobie przywłaszczył, surowej podpada karze.

— To więc chyba granice klemów muszą zostać ściśle oznaczone? — zapytał White.

— Rzecz to prosta — odrzekł Buthley. — Inaczej bowiem nie możnaby rozpoznać, jak daleko rozciągają się poszczególne klemy. Spory, zatargi i krwawe bójki byłyby więc na porządku dziennym.

— A na klemie własnym można się już czuć całkiem bezpiecznym? — zapytał Ferman.

— Niestety — rzekł Buthley — niezawsze tak bywa. Trzeba się ustawicznie mieć na baczności przed złodziejami i różnego rodzaju opryszkami, którzy czychają tylko na to, aby złupić owoc obcej pracy. A liczba urzędników, którzyby strzegli bezpieczeństwa prawowitych właścicieli klemów, jest tylko bardzo mała. Zanim się ich przywołać zdoła, to rabusie ze swą zdobyczą — a nieraz i z życiem ludzkiem na sumieniu — mogą już być het za górami i lasami.

— Niekoniecznie więc pobyt w tych stronach do przyjemności zaliczać można — zauważył John.

Tu dodał prędko Roy:

— A mnie takie życie, pełne niebezpieczeństw tem więcej się podoba. Bo jestem prawdziwym miłośnikiem przygód i niespokojnego życia.

— Prawie nie wątpię — pocieszał śmiałego młodzieńca Buthley — że znajdziesz tu i jedno i drugie w obfitości. Ale bylebyśmy pozostali uczciwymi i Boga wzywali na pomoc, to za łaską Jego, tuszę, z wszystkich tych przygód i opałów cało wyjść możemy.

Temi słowy zakończył ową pogadankę White, który w każdem położeniu odnosił się myślą do Boga.

Teraz uchwalili nasi znajomi, że młodzi pozostaną w chacie przy chorym, a starsi udadzą się do szeryfa po wykupienie sobie przywileju na własny klem w najbliższej jeszcze wolnej okolicy.

Wiemy już, że pod tym względem zalecał się wielki pospiech. Lada chwila bowiem mogli zgłosić się u władzy nowi nań amatorzy. A kto pierwszy, ten lepszy.

Tymczasem Buthley na podstawie swego długoletniego doświadczenia jako górnik, upatrzył sobie już, choć tylko pobieżnie, kawał gruntu, który mu się wydawał obfitującym w złoto.

— Ten klem musi być naszym — pomyślał i naglił do pospiechu.

Grono naszych znajomych musiało wrócić kawał drogi nad rzeką Yukon.

Z daleka powiewała u większej chaty chorągiew angielska. Okolica ta bowiem należała do posiadłości angielskich w Kanadzie.

Tu zastali przybysze urzędnika, który przyjął ich bardzo grzecznie.

Był właśnie tym, który udzielał przywilejów na klemy. Wysłuchawszy więc ich życzeń, wydobył z szuflady mapkę, oznaczył na niej dokładnie przyznamy im klem. A skoro zapłacili wymaganą — wcale niezbyt wysoką — sumę, wręczył im kwit z potwierdzeniem i oznaczeniem rozmiarów i granic odnośnego klemu.

Ów urzędnik oświadczył zarazem, że dla wytknięcia granic w najbliższym czasie, za-

pewne już nazajutrz, stawi się tam jeden z podwładnych mu urzędników policyjnych.

Tak więc ważna ta sprawa została szybko i pomyślnie załatwioną.

Wiadomość ta ucieszyła niemało i pozostałych w chacie przy rannym młodzieńcu. A nawet Muramba, który posiadał wdzięczne serce, brał szczery udział w tej ogólnej radości swych opiekunów.

Tego dnia wszyscy już pozostali w chacie.

Było już pod wieczór i trzeba było pomyśleć o zgotowaniu wieczerzy. Ale niemały co do tego trapić ich począł kłopot. Brakło im drzewa.

I tu znów dopomógł sprytny Buthley.

Odwiedził pewną liczbę bliższych chat i po części za dobre tylko słowo, a po części za pieniądze uzbierał tyle drzewa, że potrzebującym na pierwsze kilka dni starczyć mogło.

A było to tem więcej pożądanem, ponieważ nocą chłód dokuczliwy panował tak, że mianowicie ze względu na chorego należało wnętrze chaty nieco ogrzać.

Zdrowi byli wytrzymalsi na zimno. Jak oświadczył Ferman, wystarczyłyby dla nich kołdry i futra.

Powoli noc zapadła. W chatach zapanowała głęboka cisza. Wszyscy spali.

Praca rozpoczęta.

Następnego dnia stawił się urzędnik, aby wyznaczyć naszym znajomym klem, na którym przysługiwać im miało wyłączne prawo poszukiwania złota.

Pod tym względem była więc sprawa już w porządku.

Ale jednak nie można było w tej chwili zabrać się do pracy, która miała im przynieść złote owoce.

W obec niecierpliwości, którą zwłaszcza młodzi okazywali, rzekł Buthley:

— Trochę więcej spokoju, moi kochani! Jeżeli na klemie znajduje się, jak mam nadzieję, rzeczywiście złoto, to przecież nam nie ucieknie...

— Bo co prawda, to nie ma nóg — przerwał White.

— Ani nam go nikt tak łatwo nie skradnie...

— Mamy przecież silne pięści — wtrącił Ferman — i dalekonośne karabiny.

— Dziś — ciągnął Buthley dalej — musimy wykonać pewną pilniejszą pracę. Klem nasz zanadto jest oddalony od chat, w których dotąd nocowaliśmy. Byłoby nam więc zadaleko, po pracy na noc do nich zawsze wracać. Byłaby szkoda tracić na to tyle czasu. A potem jeszcze jedno. Jeżeli znajdziemy złoto, to musielibyśmy je zawsze do chaty z sobą nosić. To zaś biłoby zanadto w oczy sąsiadów, którzy gotowi by mieć chrypkę na plon naszych trudów. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak wystawić chaty na naszym własnym klemie.

— Dobrze. Ale zkąd weźmiemy potrzebnych do tego desek? Wszak o nie tu prawie trudniej jak o złoto!

— To prawda. Ale ja tę rzecz już dobrze obmyśliłem. Oto te chaty, które tak długo stały próżno, dopóki nie założyliśmy w nich kwatery, kupił najbliższy sąsiad od ludzi, którzy je opuścili, aby się przenieść do innej okolicy. Ponieważ zaś on sam ma własnego po-

mieszczenia dosyć, myślę, że za stosownem wynagrodzeniem odstąpi nam je na własność. Trzeba więc z nim o tem pomówić.

Wnet też poszedł Buthley wraz z Fermanem do owego właściciela. Tenże wcale się nie drożył, gdyż mu te chaty były zbyteczne. Sprzedał je za kilkadziesiąt dolarów.

Teraz przywołano do pomocy White'a i Johna.

Chaty wnet rozebrano. Belki, deski i pale przeniesiono na nowe miejsce i tam je ustawiono.

Ale zawsze zeszedł na tem cały dzień.

Do kopania za złotem zabrano się dopiero dnia następnego, i to wczesnym już rankiem.

Nie była to robota zbyt łatwa ani przyjemna.

Trzeba było za pomocą motyk bryły rozbijać i rozkopywać ziemię rydlami. Następnie napełniano nią wielkie sita o ścianach z żelaznej blachy i przesiewano. To co w sieci pozostało, zanoszono do rzeki i tam skrzętnie wypłókiwano.

Wielka to była radość, gdy jeden z młodych naszych znajomych w prawie tak gęstym i lepkim jak ciasto mule znalazł pierwsze kilka ziarn złota.

A więc mamy już kilka „nuggetów?" wykrzyknął Buthley. — Z pewnością będzie ich niebawem więcej. A to zapowiada nam nielada zyski. To bowiem szczere złoto. Nuggety daleko lepsze jak złoty piasek, którego znaczną ilość uzbierać trzeba, aby uciążliwa robota sie opłaciła.

Zapał naszych poszukiwaczy złota odtąd się podwoił. Pracowali tem pilniej i uważniej, aby znaleźć jaknajwięcej.

Przepowiednia Buthleya ziściła się już w najbliższym czasie.

Znajdowano nuggety i w większej liczbie i nieraz bardzo pokaźnej wielkości. Niektóre z nich dochodziły wielkości kurzych jaj.

Takie większe nuggety znachodziły się mianowicie w głębszej warstwie ziemi.

Ale umówiono się, aby nie rozpowiadać o tem obcym ani nawet nie zdradzać osiągnięcia cenniejszych zdobyczy przez wydawanie okrzyków radości. Bo mogłoby to u innych poszukiwaczy złota, którzy mieli mniej wydajne klemy, wywołać zazdrość i chęć wydarcia im tego cennego kruszcu.

W przeciągu tygodnia posiadali nasi znajomi już tak obfity zapas nuggetów, że przedstawiał wartość kilku tysięcy dolarów.

— To już prawie mały majątek — rzekł White, gdy wieczorem po ukończonej pracy dziennej siedzieli przy wieczerzy.

A wypada nadmienić, iż gotowaniem strawy zajmował się przedewszystkiem Muramba. Indyanin czuł się bowiem już o wiele zdrowszym, ale był jeszcze za słabym, aby dopomagać w ciężkiej pracy przy szukaniu złota.

Biali jako ludzie względni i wyrozumiali oszczędzali go też według możności. On zaś ze swej strony wywdzięczał im się w ten sposób, że odgrywał rolę kucharza.

Na podstawie danych mu rad i wskazówek szło to też pojętnemu czerwonoskóremu młodzieńcowi wcale nieźle. Boć też nie przyrządzano tam żadnych łakoci ani specyałów, lecz zadowalano się jaknajprostszą strawą. A jadłospis, jeżeli tak się wolno wyrazić, nie wykazywał wielkiego urozmaicenia.

Podczas wspomnianej już wieczornej rozmowy, wystąpił Ferman z propozycyą, żeby już w najbliższych dniach udał się kto do Dawson-City celem zakupna nowych zapasów żywności, gdyż stare były już na wyczerpaniu.

— Słuszna to rada — poparł go Buthley.

Muramba tymczasem odgrywał rolę kucharza..

— A do tego zaleca się — dorzucił White — ta podróż i z innego jeszcze powodu. Niebezpieczna to, jak wiecie, rzecz, trzymać większy zapas złota w domu. Najlepiej będzie sprzedać nasze nuggety w mieście, a resztę pieniędzy, pozostałych po zakupnie ży-

wności, oddać na przechowanie do banku. Tam będą daleko pewniejsze niż w naszej lichej chacie.

— W takim razie — zauważył Ferman — jestem za tem, aby wybrać się do miasta już jutro. Bo i to rzecz ważna, że woda w rzece jeszcze zanadto nie opadła, więc można popłynąć czołnem, gdyż to i najwygodniejszy i najprędszy sposób podróży. Drogą lądową o wiele trudniej dostać się do Dawson-City.

Młodzi nie mięszali się do tej rozmowy. Wiedzieli, że starsi posiadają pod tym względem daleko więcej doświadczenia. Załatwienie więc tej sprawy im całkowicie pozostawili.

Stanęło też na tem, że jutro zaraz o wschodzie słońca White, Ferman i Roy popłyną do Dawson-City, aby tam wszystkie omówione sprawunki załatwić.

Buthley postanowił wraz z Johnem i Murambą pozostać w domu, a raczej w chacie.

Względy ostróżności nie pozwalały na zupełne ogołocenie klemu z silniejszych rąk, ażeby się może kto niepowołany nie pokusił o zajęcie go na własność.

Już raniutko byli wszyscy na nogach.

Muramba oparzył kawy, do której zjedzono po sporym kawałku chleba ze słoniną. Potem włożono nuggety do skórzanych woreczków i zaniesiono do czołna.

Znajomi uścisnęli sobie serdecznie ręce i trójka nasza puściła się w drogę.

Według umowy miał powrót nastąpić w dniu następnym.

Napad nocny.

Mimo tak wczesnej pory wyjazd ten nie uszedł baczności kilku obcych osób w jednym z nieco więcej oddalonych klemów.

Nie zauważyli jednakże skórzanych woreczków z nuggetami, które nasi znajomi tak ukryli, że ich dostrzedz nie było można.

Żądni cudzego dobra niegodziwcy byli więc tego zdania, że cały plon dotychczasowej pracy naszych znajomych znajduje się w ich chacie.

Powzięli więc zamiar splądrowania owego mniemanego skarbu, aby się cudzą krzywdą obłowić, a potem czmychnąć dalej. W większem zbiorowisku ludzi — sądzili — uda im się ukryć bezpiecznie przed pościgiem ze strony policyi.

Byli to próżniacy, dla których ciężka praca na klemie była ckropnością, nie do zniesienia. Do tego własny ich klem nie obfitował bynajmniej w złoto, tak że trudnoby się na nim było dorobić.

To też wszyscy — a było ich czworo — zgodzili się bez wahania na podszepty Morleya, kuszącego ich do owego rabunkowego napadu.

Morley był to największy łotr z tej czwórki, która cała niewiele była warta. Można powiedzieć, że już na zewnątrz uwydatniała się jego czarna dusza.

Był to człowiek niezbyt wysokiego wzrostu, ale krępy i barczysty. Na twarzy miał liczne ślady od ospy, a pod prawem okiem wielką brodawkę. Włos jego był prawie ceglatego koloru, jeżący się do góry i niedbale utrzymywany, a z niespokojnych wciąż oczu przebijał podstęp i gotowość do wszelkich

złych występków. Siedział też już za napad rabunkowy w domu karnym. Lecz pewnego dnia udało mu się zbiedz i wtedy przybył w te strony, gdzie się jego przeszłość nie wydała.

Dodajemy jeszcze na koniec, że nos Morleya nosił na sobie czerwone piętno, jakie na nim wyrył nałóg pijaństwa, a każdy uczciwy człowiek z odrazą od niegoby się odwrócił.

I kumpani jego niewiele od niego byli lepsi.

Gdyby tak zajrzeć im w głąb duszy, to możnaby stwierdzić, że byli wraz z Morleyem, jak się to mówi, po jednych pieniędzach. I z nich już każdy coś przeskrobał. I oni gotowi byli popełnić chociażby najgorszą zbrodnię, byleby im to zysk przyniosło.

Tem tłómaczy się też łatwość, z jaką Morley, niejako herszt tej bandy, pozyskał ich dla swoich planów.

Cała ta rozmowa między hultajami toczyła się półszeptem. Nie było wprawdzie nikogo w pobliżu, któryby ją mógł podsłuchać i ich zakusy zniweczyć, ale na złodzieju czapka gore.

— Z pewnością — mówił Morley — przed jutrem nie wrócą. Bo dałbym moją rudą głowę za to, że pojechali do Dawson-City po interesie. A to przecież kawał drogi, a niecnoty czarować nie mogą.

Na to odezwał się ślepiec — tak go bowiem nazywali towarzysze, ponieważ przed kilku laty podczas ciężkiej bijatyki wybito mu lewe oko —:

— Ale przecież za białego dnia nie podobna wykonać takich „odwiedzin“ u „kochanych“ sąsiadów. Dotąd stryczek nas minął, ale nareszcie moglibyśmy podyndać.

Sfukał go za te słowa kulas. To piękne miano nadali mu towarzysze z tego powodu, ponieważ zakradając się kiedyś do obcego domu, spadł z drabiny i odtąd utykał na prawą nogę.

Ów kulas tak wywodził:

— Co też ty za głupstwo pleciesz! Ktoby tam myślał za dnia w tak „szlachetnych“ celach odwiedzać sąsiadów. Na to jest przecież noc. Jak w mętnej wodzie ryby się łowi, tak ciemności nocne dla kradzieży i rabunku najstósowniejsze.

Tu wtrącił swoje trzy grosze i garbus, ostatni z tej sławetnej szajki, który zwykle najmniej się odzywał, gdyż był bardzo małomownym.

Garbus, który tę ozdobę swej figury już od dziecka dźwigał na plecach, i to kształtem przypominającą garb wielbłądzi, w te słodkie odezwał się słowa:

— Noc to naszemu ślepcowi w sam raz. Bo ślepy widzi w nocy tak dobrze, jak za dnia.

Tu bryknął gniewnie herszt bandy:

— Stulcie pyski, głuptasie! Taka gadanina psu na budę się nie zda. Istne z was smarkacze. Myślałem, że macie w waszych mózgownicach więcej oleju. Wszak mamy ważniejszą sprawę na głowie, jak prawić takie banialuki. Naturalnie, że to, co mamy zrobić, zrobimy w nocy, i basta. Aż mi się serce śmieje na myśl, że będziemy wnet w posiadaniu tak pięknego zapasu złota. Bo gotówem dać za to gardło swoje, że te pilne przeklęte kreatury niemało go nakopali.

— Ale tak łatwo to pewnie nie pójdzie — rzekł ślepiec.

— Bo jest tam w chacie troje ludzi — dodał kulas.

Garbus milczał według zwyczaju. Za to rudy herszt odparł żywo:

— Tych trzech kretów nie potrzebujemy znów tak bardzo się obawiać. Wprawdzie jeden z nich to poważny przeciwnik. Ale my przecież nie tchórzem podszyci. Do tego jest nas o jednego więcej od nich. A przecież ta czerwonoskóra bestya chorowita, to łatwo ją zagłuszyć. Z młokosem zaś też damy sobie radę. A wtedy pohulamy sobie niezgorzej. Za cudze pieniążki gorzałka tem lepiej będzie smakowała. A i kart już dawno w ręku nie miałem, odkąd zgrałem się do ostatniego szeląga. Dopieroż to będzie uciecha, jeżeli — o czem nie wątpię — sprawka nam się uda. Ale teraz zabierzmy się do roboty. Nie potrzebujemy sobie wprawdzie przy niej urwać rękawów, ale musimy grzebać w ziemi, aby tak dla pozoru. Bo chodzi o to, żeby nie ściągnąć na siebie żadnego podejrzenia. Musimy udawać niewinnych baranków, nie myślących o niczem innem, jak o robocie.

O tym samym czasie znajdował się i Buthley z Johnem na swym klemie przy pracy, podczas gdy Muramba pozostał w chacie, zajęty jakąś pracą domową.

Buthley i John uwijali się dziś i pracowali jeszcze pilniej, jak zwykle. Zależało im na tem, aby wydobyć z ziemi jaknajwięcej nuggetów. Poczciwcy pragnęli sprawić swym towarzyszom, skoro jutro wrócą do domu, miłą niespodziankę.

To też pot obfity zlewał im czoła. Ale nie nadaremno. Niejeden ładny nugget wpadł im w ręce. A to dodawało im bodźca do tem silniejszej pracy.

Tak zeszedł im szybko cały dzień.

Wieczorem widzimy znowu naszą trójkę w chacie.

Po spożyciu wieczerzy pogawędzili z sobą dłuższą chwilę, poczem poleciwszy się Bogu, udali się na spoczynek.

Wnet też John i Muramba spali, jak zarznięci. Pierwszy, który dnia tego bardzo się natężył, chrapał w najlepsze. Przeszkadzało to trochę Buthleyowi, tem bardziej, że pomimo znużenia sen go jakoś odlatywał.

To też wstawał co chwila ze swego posłania i wyglądał na dwór. Coś go we wnętrzu niepokoiło, jakby miał jakieś złe przeczucie. To też za każdym razem brał rewolwer do ręki.

Wtem, gdy właśnie ponownie wyszedł na dwór, zawarczały psy, które leżały u progu chaty jakby na straży.

Niebawem głośno zaszczekały. Widocznie ktoś się zbliżał. Buthley wytężył oczy i spostrzegł przy słabem świetle migocących się gwiazd kilku mężczyzn, którzy chyłkiem zbliżali się do chaty.

— Stój! — zawołał nieustraszony Buthley.

Ale nikt nie przystanął. Nikt też nie odpowiadał.

To był zły znak.

Buthley wiedział już co się święci.

Tymczasem już i psy doskoczyły do rabusiów, szarpiąc ich za łydki. Żałosne skomlenie

świadczyło o tem, że jeden z napastników wierne psisko uśmiercił nożem. Bo obawiali się strzelić, aby nie zaalarmować sąsiadów.

Buthley, widząc, że to nie przelewki, dał ognia z karabinu, mierząc do tego, który kroczył na przedzie.

Nie był to jednak sam herszt bandy, jakby przypuszczać należało. Opryszek był do tyla przezornym, że trzymał się więcej w tyle, aby nie narażać się naprzód na niebezpieczeństwo.

Przypadkiem znajdował się właśnie ślepiec na samem czele.

Jego więc trafił celny strzał z karabinu Buthleya, i to w same piersi.

Drab jęknął, potoczył się i runął, jak zwalona kłoda drzewa na ziemię. Zbroczył ją obfity strumień krwi.

Było po nim.

Ale reszta nie dała jeszcze za wygraną. Nie cofnęła się.

Naturalnie, że skutkiem strzałów obudził się nietylko Muramba, ale i chrapiący John.

Pierwszy porwał za swój tomahawk, broń w kształcie topora, podczas gdy biały młodzieniec zaopatrzył się w rewolwer. Obaj mieli tę broń zawsze tuż przy sobie. W razie potrzeby mieli ją więc każdej chwili pod ręką.

Z błyskawiczną szybkością poskoczyli Buthleyowi na pomoc. Nadeszła też w sam czas. Herszt bowiem zadał mu nożem swym dość głęboką ranę w prawą rękę. Że go nie uśmiercił, to zawdzięczał Buthley jedynie swej zwinności. Rudy opryszek bowiem chciał go ugodzić w sam żywot, ale były górnik w

tej krytycznej chwili trącił go tak silnie w ramię, że nóż przebił mu tylko rękę, z której krew tryskała.

Pomimo tej rany, Buthley, nie mogąc skutkiem zbytniej bliskości napastnika strzelać, uderzył go tak silnie kolbą karabina w głowę, że tenże na dłuższy czas stracił przytomność.

Pozostało więc jeszcze tylko dwóch napastników.

Do nich to przypadli z wielką zaciętością John i Muramba.

Starcie było bardzo ciężkie.

Muramba ciął tomahawkiem swoim w gardło kulasa i przeciął mu tętnicę.

I kulas więc wskutek upływu krwi po chwili skonał.

John zabrał się do garbusa, który jednak bronił się tak zajadle i tak olbrzymią okazał siłę, że John sam pokonać go nie zdołał. Szamotali się z sobą przez krótką chwilę. Wreszcie garbus potknął się i upadł na ziemię, a John za nim. Ale w tej chwili doskoczył mimo swej rany Buthley i wspólnie ubezwładnili rabusia.

Odpiąwszy prędko pasy z grubego rzemienia, związali kulasa. A oprócz tego i rudowłosego herszta. Bo zabić go nie chcieli bez koniecznej potrzeby, gdy leżał bezbronny na ziemi. Z drugiej jednak strony można się było spodziewać, że lada chwila przyjdzie do siebie. Ostróżność więc nakazywała postarać się o to, aby nie mógł stać się im niebezpiecznym.

Skoro, zwabieni wystrzałem, nadbiegli najbliżsi sąsiedzi, na pomoc, była ona już właściwie zbyteczną.

To też nasza trójka podziękowała im tylko za dobre chęci i poprosiła o pomoc w zawleczeniu związanych w pobliże chaty.

Uradzono, że mają tam przez noc pozostać. Rano zaś miał John udać się do najbliższej stacyi policyjnej i zawiadomić ją o tem, co zaszło.

Tak się też stało.

Już po kilku godzinach stawili się przedstawiciele władzy. Spisali protokół, poczem kazali pogrzebać zabitych, a zbrodniarzy zabrali z sobą. Ztamtąd posłali ich pod silną eskortą do Dawson-City. Tam bez wielkich ceregieli sąd skazał obu na karę śmierci przez powieszenie.

Niebawem wyrok wykonano.

Tak więc zginęła marnie ta czwórka ludzi, których zgubiła żądza złota. Nie chcieli go nabyć uczciwą pracą, lecz za pomocą zbrodni. A to srogo się na nich pomściło.

Gdy Ferman Whity i Roy po załatwieniu swych interesów w Dawson-City wracali do domu, dowiedzieli się ku wielkiemu swemu przerażeniu o tej okropnej walce nocnej.

Żal im było poniekąd przelanej krwi. Ale pocieszyła ich okoliczność, że towarzysze ich z tej przygody wyszli cało. Bo Ferman wnet stwierdził, że rana, którą otrzymał dzielny Buthley, nie była bynajmniej niebezpieczną.

White z pomocą Fermana czemprędzej doskonale ją opatrzyli, a wszyscy podziękowali Bogu za to, że od większego uchronił ich szwanku.

Dopiero teraz opowiedzieli przybysze, jak im poszło w mieście, gdzie wszystko ku zadowoleniu swemu sprawili.

Szczęśliwy traf.

Przy ciągłej pracy czas naszym znajomym chyżo uchodził.

Ale praca na klemie stawała się tem uciążliwszą, im więcej słońce letnie dopiekało.

To też chwile wytchnienia i wypoczynku były dla nich bardzo pożądane. A przy harmonii i zgodzie, która wszystkich łączyła, tak że tworzyli, nie wyłączając nawet Muramby, jakby jedną rodzinę, chwile te przy pogadance bardzo mile im upływały. A niemało przyczyniał się do ich uprzyjemnienia Roy, który doskonale umiał grać na harmonice. Ponieważ zaś miał i tu taki instrument ze sobą, przeto często proszono go, aby zagrał jaką sztuczkę. Nie wymawiał się od tego, zwłaszcza że sam lubiał muzykę. Będąc zaś usłużnym, tem chętniej spełniał życzenie towarzyszy.

Pewnego dnia przypadały urodziny Fermana.

White, chcąc tak wiernego towarzysza uczcić, zaproponował, żeby tego dnia świętować, to jest podobnie jak w niedzielę wstrzymać się od pracy.

Ferman, jako człowiek skromny, wymawiał się. Ale Buthley poparł gorąco wniosek Whitego. A i nasi młodzi powitali go z radością. Bo co prawda, to w ostatnich kilku dniach skutkiem nadmiernego upału niemało przy pracy ucierpieli. Nawet poczciwy Muramba obiecał w tym dniu zgotować lepsze pożywienie, gdyż, jak się wyraził, musi to być prawdziwa uczta.

Ponieważ w niedzielę nasi znajomi jako religijni ludzie nie polowali, w dni powszednie zaś praca na to nie pozwalała, przeto

chciał Roy i John skorzystać z owego dnia wolnego, aby udać się na polowanie.

Myśl ta znalazła poklask i ze strony starszych, ponieważ wszystkim już trochę tęskno było za świeżem mięsem. Ustawiczne konserwy, peklowina i słonina już im się trochę przyjadły. Muramba też zachował swą sztukę robienia pieczeni, którą przed całem gronem radby się popisać.

Obiad więc czyli zapowiedzianą ucztę wystawił tego dnia znacznie prędzej, aby młodzi biali — on sam bowiem pozostał w domu — wcześniej wyjść mogli.

I poszli.

A szli daleko, gdyż nie chciała im się nawinąć pożądana zwierzyna.

I tak doszli aż ku skrajowi góry nad prawem brzegiem rzeki Klondyke.

Tu zoczyli małe stado jeleni, pasących się na nadbrzeżnej trawie. Zwierzęta nie spostrzegły jednak myśliwych, gdyż było to na zakręcie, a do tego odnoga góry zbliżające się dla nich niebezpieczeństwo poniekąd zakrywała.

Młodzieńcom na ten widok aż serce myśliwskie gwałtowniej bić poczęło. Przystanęli, aby nie spłoszyć zwierzyny. Szybko zdjęli z ramion strzelby. Wymierzyli. Rozległ się huk i dwa piękne okazy jeleni tarzały się po ziemi, aby wnet wszystkie cztery wyciągnąć.

Żaden strzał nie chybił.

Pozostała przy życiu reszta stadka rozpierzchła się w szalonym pędzie.

— A to dopiero gratka! — mówił Roy. Jakże nasi się ucieszą, skoro ujrzą tyle smacznego mięsiwa. I nie potrzebujemy się po-

wstydzić, bo wywiązaliśmy się znakomicie z naszego zadania.

Na to rzekł John:

— Ja zaś głównie z tego się cieszę, że nasz dobry Muramba będzie zadowolony, gdyż będzie miał sposobność pokazania swej sztuki kucharskiej, którą się tak chlubił.

Trzeba bowiem wiedzieć, że jakkolwiek całe nasze białe towarzystwo czerwonoskórego młodzieńca prawdziwie polubiło, to John największą dla niego miał słabość. Muramba odwzajemniał mu się też wielkiem przywiązaniem. Było to więcej jak zobopólna życzliwość. Stósunek ich do siebie był wprost przyjacielskim.

Na razie pozostawili nasi myśliwi swą zdobycz na tem miejscu. Poszli o kilkadziesiąt kroków dalej, aby u samego podnóża góry wypocząć i pokrzepić się zabraną ze sobą prowizyą.

I gdy tak siedząc na złomku skały wpatrują się ciekawie w olbrzymie ściany skaliste, naraz wydał Roy okrzyk zdziwienia.

— Patrz przyjacielu — zawołał do John.a — co się to tak świeci w tej skale jak złota żyła!

— A może to i naprawdę złoto — odrzekł radośnie zagadnięty. — Wszak słyszałem już dawniej, że miejscami znachodzą się takie żyły złote w górach. Może więc i nam Fortuna zgotowała taką niespodziankę. Byłoby to jeszcze daleko więcej warte, jak te jelenie, chociaż i mnie na myśl o smacznej pieczeni z ich mięsiwa ślinka do ust idzie.

Na to odparł Roy:

— Wszystko być może. Ale nie cieszmy się przedwcześnie. Nie trzeba sprzedawać skó-

ry, póki niedźwiedź w lesie. My się na tych rzeczach znamy tyle, jak koza na pieprzu lub jak wilk na gwiazdach. Sprawę tę musi zbadać jaki znawca. A na szczęście Buthley posiada niezawodnie dostateczną znajomość rzeczy. Utrącimy więc kawałek kamienia z ową niby to złotą żyłką i zabierzemy z sobą do zbadania, a wtedy bliższe podszukanie wykaże, czy to w samej rzeczy złoto.

— A co zrobimy z jeleniami? Wszak szkoda by je tu pozostawić, może na pastwę jakim drapieżnym zwierzętom.

— Jednego weźmiemy z sobą. Chociaż to prawdziwy olbrzym swego gatunku, w dwójkę zdołamy go udźwignąć. Drugi zaś musi tu przez jakiś czas pozostać, aż ktoś z nas po raz drugi tu przybędzie, co pewnie wnet nastąpi. Bo Buthley prawdopodobnie na miejscu rzecz będzie chciał zbadać. Miejmy też nadzieję, że łup nasz myśliwski pozostanie aż do tego czasu nietknięty.

Teraz już nasi młodzi nie mieli spokoju. Nic dziwnego, że ich coś parło do domu. Wszak mieli dwojaką zdobycz, bo i jelenia i ów kawałek kamienia z błyszczącą jak złoto żyłą szerokości palca.

Dźwignęli więc większego jelenia na swe barki i o ile wobec takiego ciężaru było im możliwem, pospiesznym krokiem podążyli do domu.

Powitano ich już z daleka oznakami radości gdyż ujrzano jelenia, którego nieśli. Muramba aż skakał i w ręce klaskał.

A gdy Roy wydobył z torby myśliwskiej wiadomy nam już kamień, wszystkich ogarnęło zdziwienie.

Buthley bez zwłoki zabrał się do dzieła.

Porozbijał młotkiem rzeczony kamień na drobne kawałeczki, które następnie roztarł na proszek. Wsypał wtedy do naczynia i dolał wody, tak że zrobił się z niego rodzaj papki. Papkę tę znów polał żywem srebrem, aby się złoto lepiej oddzieliło. W końcu wyłożył całą mięszaninę na blaszaną łyżkę i tak długo trzymał nad ogniem, aż się kruszec stopił. Wtenczas zlał ową masę do innej łyżki, a gdy ostygła, zawołał z weselem:

— Tak, to w istocie szczere złoto! Nasi młodzi mieli szczęście, bo wynalazek ich rokuje nam ogromne powodzenie. Zaraz jutro udam się w ich towarzystwie do owej góry, aby ją dokładnie zbadać. Ale prawie już teraz nie wątpię, że znajdują się tam w obfitej mierze żyły złota. Będziemy więc musieli założyć tam prawdziwą kopalnię, aby ten skarb należycie wydobywać.

— Kopalnię! — rzekł na to White — łatwo wypowiedzieć to słowo. Ale jakże trudno w tutejszych warunkach, gdzie brak i wykształconych w górnictwie ludzi i sił roboczych i maszyn odpowiednich, zamiar taki w czyn zamienić.

— Ano — odpowiedział Buthley — daleko to wprawdzie trudniej, jak ubić jelenia lub zrobić z niego pieczyste. I tu spojrzał na Murambę. — Ale pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki. Z drugiej zaś strony nie jest to rzeczą niemożliwą. Nie trzeba tylko tracić otuchy, a wszystko się uda.

— Ciekawym bardzo, w jaki sposób? — odezwał się Ferman, który dotąd milczał.

— Sposób na to się znajdzie i znaleźć musi — uspokajał Buthley. — A nawet mam już projekt gotowy. Oto, jeżeli się jutro

przekonam, iż w tamtejszej górze są dostateczne żyły złota, to Muramba uda się do swego ojca i za jego staraniem przywiedzie nam potrzebną ilość Indyan do pomocy. Za pieniądze i cukru się dostanie, więc jeżeli zapewnimy staremu naczelnikowi dobre wynagrodzenie, a robotnikom wysoką płacę i dobre utrzymanie, to chyba na projekt nasz się zgodzą.

— Ale zkąd wziąść potrzebne maszyny do kopalni? — zapytał White.

—I maszyny się znajdą. Dowiedziałem się niedawno, że w dalszej okolicy pewien właściciel podobnego klemu oczekuje przybycia zastępcy wielkiej fabryki z San Francisko, dostawiającej maszyny górnicze, aby dla siebie co potrzeba zamówić. Owa firma bowiem w różne strony tutejsze swych wojażerów czyli podróżujących wysyła, gdyż coraz więcej złota tu znajdują i coraz więcej poszukiwaczy złota nadciąga. I my więc przy tej sposobności zrobimy potrzebne zamówienia.

— A jak ze sprawą inżynierów, bez których trudno byłoby się obyć?

— I na nich w wielkich miastach nie zbywa. Byleby zapłata była odpowiednia, to i ich dostaniemy. Już sam zastępca odnośnej fabryki o nich się postara, aby nas sobie ująć, żebyśmy zostali jej odbiorcami.

Wywody Buthleya, który też jeszcze zaznaczył, że po spieniężeniu najnowszego bogatego zapasu nuggetów nie zabraknie potrzebnych na początek funduszy, wszystkich uspokoiły.

Postanowiono postąpić według jego zdania, byleby jutrzejsze oględziny pomyślny wydały rezultat.

Na dziś zakończono rozmowę o tej ważnej sprawie.

Pomyślano o czemś innem.

Wszak było mięsiwo z jelenia. Muramba musiał się zaraz zabrać do pocięcia go na kawały i przygotowania upragnionej pieczeni.

A sprawiedliwość każe przyznać, że spisał się doskonale. Pieczeń wszystkim wybornie smakowała, z czego czerwonoskórny kucharz niemało był dumnym.

Dzień ten ku uczczeniu urodzin Fermana był więc dla naszej drużyny niezwykle szczęśliwy. Zakończył się też prawdziwą ucztą.

Drugiego dnia udał się, jak było umówionem, Buthley wraz z Royem i Johnem na znane nam już miejsce nad brzegiem rzeki Klondyke. Tam, krótko mówiąc, znalazł w górze skalistej tak obfite żyły złota, jeszcze daleko szczersze jak przyniesiona do chaty próba, że to przechodziło wszelkie jego oczekiwania.

To też z radością bez granic wróciła nasza trójka do domu. Tam zaś przyjęto tak pomyślną wiadomość z najwyższą radością.

I tego drugiego ubitego jelenia przyniesiono z sobą. Bo znaleziono go nietkniętego w tym stanie, w jakim go tam dnia poprzedniego młodzi myśliwi pozostawili.

Tylko Muramba poniekąd żałował, że najmniej na kilka dni musi zaniechać tu swej sztuki kucharskiej. Naglono go bowiem do wyjazdu do ojca po ludzi do roboty. Ale zdrów był już zupełnie, więc nie mógł się wymówić. Wyruszył już nazajutrz, i to pieszo. Zalecono mu jednak wielką ostróżność, aby nie wpadł znów może w ręce ziomków z niegodziwego plemienia Ribbet.

Może ten lub ów z czytelników gotów się dziwić, dlaczego Muramba nie kwapił się wcale z ową wędrówką do wioski rodzinnej. Wszak miał się zobaczyć z ojcem, a więc tem więcej powinien chętnie korzystać z tej sposobności.

Nowa walka.

Okolica nad brzegiem rzeki Klondyke, w której znajomi zakupili sobie nowy klem, otrzymała nazwę El Dorado-Creek.

W przeciągu kilku tygodni wygląd tej okolicy bardzo się zmienił.

Po obu stronach rzeki była ziemia podzielona na mnóstwo klemów, na których poszukiwano złota. Bo zewsząd ściągały tłumy ludzi na wieść o znacznej ilości złota tamże. Ludzie ci pragnęli również spróbować szczęścia i o ile możności jaknajprędzej się zbogacić.

Można więc sobie wobec tego wystawić, że pojawiło się i wiele kupców i kramarzy. W skleconych na prędce budach sprzedawali wódkę i różne artykuły żywności oraz sprzęty, które osiadła tam ludność kupować była zmuszona. Okoliczność tę sprytni przedsiębiorcy handlowi nie omieszkali wyzyskiwać na swą korzyść. Ceny za towary były więcej aniżeli wygórowane.

Nasi znajomi pracowali dalej z niezmordowaną pilnością. To też woreczki, w których skrzętnie przechowywali swe nuggety, pomnażały się ciągle co do liczby i rosły w rozmiarach.

Nadszedł też czas, że trzeba było pomyśleć o spieniężeniu w mieście tych dalszych zapasów złota. A i zapasy żywności, z których teraz tak dużo ludzi czerpało, kończyć się po-

czynały. Ubytek należało więc zastąpić nowym prowiantem. A w mieście był on jednak nieco tańszym, jak na miejscu.

Zdawałoby się, że w tym celu i tym razem wybierze się kilka osób do Dawson City.

Tymczasem za radą Buthleya zdecydowano się obecnie na podróż do Selkirk.

Była to wprawdzie daleko dłuższa droga. Ale wybór jej zalecał się z różnych względów. Raz bowiem miano zakupić futer na zimę, która była w tych stronach prawie już za pasem. A właśnie Selkirk, gdzie traperzy po swych polowaniach w Kanadzie i angielskiej Kolumbii sprzedawali swe skóry i futra, do takiego zakupna daleko więcej się nadawał jak Dawson City. Dalej było tam łatwiej zgodzić cieśli, których nasi znajomi w El Dorado-Creek bardzo potrzebowali. Bo było rzeczą konieczną wznieść na nowym klemie większy i lepszy budynek na czas długich mrozów zimowych. Wreszcie był jeszcze i następujący powód, który niemało przy wyborze Selkirku zaważył na szali.

Oto sprowadzonym dotąd przez Murambę Indyanom z plemienia Crow, sprzykrzyła się ostatecznie ciężka praca na klemie. Byli wprawdzie zadowoleni tak ze swojej dzionki jako i z dobrego wiktu oraz traktowania, ale w domu o tyle mieli wygodniej, że mogli sobie siedzieć bezczynnie czyli wylegiwać na niedźwiedziej skórze. Ten i ów tęsknił też po dość długiej rozłące za swą rodziną. Zresztą zarobili sobie już piękny grosz, więc tem więcej odeszła ich ochota do dalszych robót.

Tylko wierny Muramba, a z nim czterech innych ziomków, chcieli wytrwać i nadal przy swych białych panach.

Buthley był tego zdania, że należy skorzystać z podróży powrotnej owych Indyan i dlatego zalecał wyjazd do Selkirk.

— Bo — tak wywodził podczas wspólnej narady — wobec tylu tęgich ludzi będzie transport nuggetów tem bezpieczniejszy. A to wiele znaczy, boć pamiętny napad nocny na naszą chatę zniewala do wielkiej ostróżności. Przecież i w drodze mogłoby się coś podobnego wydarzyć.

Te wywody uznała i reszta za uzasadnione.

Uchwalono więc, że White i Roy wraz z dwudziestu pięciu Indyanami już nazajutrz popłyną na Yukonie aż w pobliże ich wioski. Było to i z tego względu wygodnem, ponieważ nie potrzebowali brać własnego czołna, lecz mogli jechać razem z Indyanami na jednej z ich dwóch łodzi. W Selkirk zaś mieli nabyć drugie czołno, które i tak na przyszłość było im potrzebnem, i na niem wrócić do El Dorado-Creek.

Nie potrzeba prawie dodawać, że młody Roy wolał jechać do Selkirk, aniżeli do Dawson-City. Bo pierwsze miasto było większem i bardziej ożywionem. Tam więc mógł się lepiej zabawić jak w tej nędznej dziurze, jak nazywał Dawson City.

A nie dziw, że młody człowiek pragnął po tak długiej pracy użyć trochę zabawy i rozrywki. Był mianowicie zapalonym miłośnikiem tańca. A wiedział, że w Selkirk nie zbywa na sposobności do tego rodzaju zabawy.

Zaczęto też niezwłocznie czynić przygotowania do tej podróży.

— Ale jak zrobimy z wynajęciem nowych sił roboczych w miejsce odjeżdżających In-

dyan? — zapytał Ferman. — Obyć się bez nich nie możemy. A na miejscu ledwie ich się dostanie.

Na to rzekł White:

— Może oprócz cieśli mam się w Selkirk obejrzeć i za robotnikami?

— Nie potrzeba tego — odparł Buthley. — Skoro White z Royem odjedzie, ja rozejrzę się tu po naszej okolicy, a nie wątpię, że uda mi się zwerbować dostateczną ich ilość. Sami już wiecie, że niektóre klemy są tak mało donośne, że ich właściciele przy tutejszem drogiem życiu wystać nie są w stanie i dla tego je porzucają. Niejednego z nich nie stać na zakupno nowego klemu. Tacy nie będą od tego, żeby za dobrą zapłatę wstąpić w obowiązki u nas. O to więc niechaj was głowa nie boli.

Tak więc i ta sprawa była na razie ubitą.

Nazajutrz wyjechał więc White i Roy zaraz z Indyanami na rzece Klondyke, aby dostać się do Yukonu.

Na jednej z łodzi umieszczono kilka grubych i dość pękatych worków z nuggetami, przedstawiających według pobieżnego szacowania wartość blisko dwóch set tysięcy dolarów.

Nie zapomniano też naturalnie o zabraniu z sobą wystarczającego prowiantu.

Indyanie byli doskonałymi wioślarzami, więc łódki szybko mknęły na gładkiej powierzchni wody.

To też już po kilku godzinach żeglugi przybito do ujścia rzeki Klondyke do Yukonu.

Po kilku dniach dotarła cała wyprawa do tak zwanego wodospadu Upper-Ramparts. Ztąd na dobry kilometr pod wodę żegluga była przerwaną. Trzeba więc było wyładować

prowiant i cały zapas nuggetów i przenieść je oraz i łódki aż do miejsca, od którego znów dalej bez przeszkody płynąć było można. Ale na dwudziestupięciu Indyan, było to zadanie niezbyt trudne.

Wszystko też poszło gładko.

Nadszedł jednak już wieczór. Skutkiem tego postanowiono na tem miejscu przenocować.

Brzeg był skalisty i wysoki, a tworzył tu szerszy zakręt, coś w rodzaju małej zatoki. Miejsce do noclegu było więc wcale odpowiednie.

Zrobiono ogień, przygotowano wieczerzę i pokropiono ją wódką, ulubionym trunkiem Indyan. Na wszelki wypadek postanowił też White, ogień przez całą noc podtrzymywać. Wymagał tego wzgląd na bezpieczeństwo osobiste ludzi jako też cennego skarbu w postaci nuggetów, który tu w workach złożony leżał. Jeden z czerwonoskórców musiał też kolejno czuwać, aby ktoś ciągle był na straży.

Że przezorność ta nie była zbyteczną, lecz rozporządzenie Whitego bardzo praktycznem, miało się już niebawem wykazać.

Było to około północy.

Całe towarzystwo — oprócz strażnika — leżało w głębokim śnie pogrążone. Obaj biali mieli przy swym boku starym zwyczajem karabiny nabite i rewolwery, Indyanie zaś swe tomahawki.

Wtem usłyszał stojący właśnie na straży Indyanin jakiś podejrzany szelest.

Dowód to, jaki doskonały słuch Indyanie posiadają. Bo przecież w odległości kilometra znajdował się wodospad, który sprawiał silny szum i łoskot. A strażnik mimo to ów

stosunkowo nieznaczny szelest posłyszeć zdołał. Szelest ten pochodził, jak się zdawało, z prawego brzegu rzeki. Aby się co do niego upewnić, wszedł Indyanin na wysoki skalisty brzeg, i bacznie nasłuchiwał. Światło, którem migocące gwiazdy zarzyły, było bardzo słabe. Strażnik jednak spostrzegł kilka postaci, które właśnie rzekę w niewielkiej ztąd odległości przebyć chciały. Bo Indyanie obdarzeni są także znakomitym wzrokiem.

Teraz zeszedł Indyanin ostrożnie z wysokiego brzegu i udał się do miejsca, na którem rozciągnięty na derze leżał White. Obudził śpiącego i szepnął mu po cichu do ucha, jakie cotylko zrobił spostrzeżenie.

Stary trapper był w okamgnieniu na nogach. Zaraz też obudził Roya, który robił wrażenie, że umysł jego zajęty jest właśnie jakimś miłym snem. Bo młodzieniec przez sen wymawiał zcicha różne wyrazy, jak: aha... taniec... A nawet zdawał się uśmiechać.

Czujni Indyanie również ocknęli.

— Prędko rozrzucić i zadusić ogień! — rozkazał White — aby nas przy świetle tak łatwo widzieć nie można.

Wszyscy porwali za broń.

Na rozkaz Whitego ustawił się Roy ze strażnikiem i kilku Indyanami na rogu owej małej zatoki. Mieli uważać na to, aby nikt ich z dołu znienacka napaść nie zdołał.

Wyciągnięto też pędko łodzie z wody. Bo gdyby zbliżający się obcy ludzie byli rabusiami — co nie ulegało prawie wątpliwości — to zapewne owe łodzie by sobie przywłaszczyli, aby je użyć do ucieczki po napadzie, a właścicieli pozbawić możności posłużenia się niemi.

Sam White z większą częścią czerwonoskórych ulokował się na samym wysokim brzegu rzeki. Ale położyli się na ziemi, aby ich nie widziano, oni zaś tem spokojniej obserwować mogli, co się dzieje na rzece.

I tak spostrzegli, że to banda Indyan, składająca się z około trzydziestu ludzi. Jedni z nich przechodzili rzekę w bród, zaś ją przepływali.

Indyanin obudził Whitego...

— To Indyanie ze szczepu Ribbet — odezwał się po chwili cichym głosem do Whitego strażnik — a więc nasi nieprzyjaciele. To z tego plemienia, które swego czasu wykonało napad na Murambę, przyczem go ciężko zraniono.

Po chwili zaś dodał:

— Teraz już i samego naczelnika po stroju jego rozpoznać mogę. Nazywa się „chytry lis“, ale też na tę nazwę zasługuje. Niezawodnie włócząc się w tutejszej okolicy w celach rabunku, dowiedzieli się w jaki sposób o naszej podróży, a przypuszczając, że wieziemy z sobą złoto, chcieliby nam je odebrać. Pewnie też umyślnie po drugiej stronie czekali aż noc nadejdzie.

— Będzie to dla nich zbyt twardy orzech do zgryzienia — odrzekł White. — Bo nietylko życia naszego, ale i tego skarbu mężnie bronić będziemy przeciw tym łotrom zapamiętałym.

Tymczasem zbliżyli się napastnicy na odległość około dwudziestu metrów.

White podniósł się z ziemi, przyklęknął na kolano i wymierzył do „chytrego lisa“.

Huknął strzał i olbrzymiego wzrostu naczelnik, wydawszy z siebie krótki okrzyk boleści, padł, aby już nigdy o własnej sile nie powstać.

Stało się to nagle i niespodziewanie, że rabusiów ogarnęło okropne przerażenie. Ale trwało to tylko moment. Cała czereda rzuciła się teraz z głośnym okrzykiem wojennym jakby do szturmu.

Dzielny White jeszcze dwóch innych Ribbetów celnym strzałem trupem położył. Ale wobec zbyt silnego natarcia ze strony pozostałych cofnąć się musiał do miejsca, na którem poprzednio spano i gdzie leżały worki z nuggetami.

Teraz nadbiegł i Roy ze swymi towarzyszami, którzy usadowili się przedtem na rogu zatoki. Była tu i reszta Indyan z plemienia

Crow, która miała zadanie pilnowania nuggetów.

Wywiązała się zażarta walka. Rozlegał się huk strzałów z karabinu Whitego i rewolwera Roya. A ze strony Indyan walczono tomahawkami.

Padło od strzałów z broni palnej jeszcze dalszych pięciu rabusiów. Czterem innym rozpłatali wierni towarzysze białych głowy swemi tomahawkami. Oprócz tego odniosło kilku mniej lub więcej ciężkie rany.

Była to dla nich porażka zbyt dotkliwa. To też obawiając się, że mogliby zginąć co do jednego, ostatecznie z wściekłym wrzaskiem rzucili się do ucieczki.

Ale i po stronie naszych nie obyło się bez ofiar.

Dwóch Indyan przypłaciło zwycięztwo swem życiem. Jeden miał tomahawkiem rozbitą czaszkę, drugi zaś rozpłatane całkiem piersi i brzuch, tak iż wnętrzności na wierzch wychodziły. Kilku zostało ranionych, między nimi jeden tak ciężko, że po kilku godzinach, pomimo troskliwej pomocy Whitego, ducha wyzionął.

Natomiast obaj biali wyszli z tego ciężkiego spotkania bez wszelkiego szwanku.

Po powrocie.

I w drodze powrotnej nie wydarzyło się naszym znajomym żadne nieszczęście.

Podróż odbywała się więc dość szybko. A do tego i daleko weselej jak poprzednio. Bo zgodzeni cieśle byli to ludzie, którzy nie lubili smutku. Umieli też wielką ilość różnych pieśni i śpiewek i nucili prawie przez cały dzień.

To też czas upływał niezwykle szybko. Trochę trudu było z przenoszeniem czołna i ładunku przy znanym nam już wodospadzie Upper-Ramparts. Ale cieśle nie lenili się do żadnej pracy. Bo byli kontenci, że po dłuższem bezrobociu znaleźli wreszcie zajęcie, i to wcale dobrze płatne. Bo White musiał się kontraktowo zobowiązać, że pobierać będą pięć dolarów dziennej płacy. Za to zastrzegł sobie również w owym kontrakcie, że w razie potrzeby muszą imać się każdej roboty, a nie tylko wykonywać samą ciesiółkę. A w trudnem znajdując się położeniu chętnie na ten warunek przystali.

Przeniesiono więc wszystko szczęśliwie cały kilometr drogi nad brzegiem rzeki. Potem spuszczono czołno na wodę i umieszczono w niem cały ładunek.

Znów żegluga się rozpoczęła. Śpiew na nowo rozbrzmiewał. I aż sam White się zdziwił, że tak prędko stanęli u celu podróży.

Powitanie przybyłych wypadło tem radośniej, ponieważ ogólnie się cieszono, że przyjechali i cieśle, których tak bardzo pożądano.

Na jakiś czas jednak radość początkowa ustąpiła uczuciu smutku, gdy dowiedziano się o ciężkiej przygodzie, która przytrafiła się towarzyszom podczas podróży do Selkirk.

White musiał na ogólne życzenie obszernie opowiedzieć szczegóły krwawej walki, którą wtedy stoczono. Ale radość z powdu tak szczęśliwego jej dla białych wyniku, wnet rozproszyła osiadłe na czole słuchających chmury smutku.

Z przywiezionych świeżych zapasów żywności przygotował Muramba spiesznie

smaczny posiłek. A po spożyciu go całe grono — bo i cieśle do niego należeli — długą jeszcze prowadziło rozmowę.

Boć było z obu stron niemało do opowiadania, naturalnie jednak więcej nowin z miasta. Bo w czasie nieobecności Whitego i Roya w El Dorado-Creek nic nadzwyczajnego nie zaszło.

Młodzi, to jest Roy i John na stronie osobno z sobą gwarzyli. A przyłączył się do nich i Muramba, który po uprzątnieniu się z gotowaniem, miał teraz nieco wolnego czasu.

Rozmawiali o tem i owem. A Roy potrącił też o zabawie tanecznej, w której kilkakrotnie brał udział.

John, który był również na to jak na lato, żałował w duchu, że nie mógł być tam z nim razem i tak wesoło się zabawić. Ale pomyślał w duchu, że i na niego przyjdzie kolej. I on przecież kiedy dostanie się znów do Selkirk, a wtedy tak samo użyje rozrywki.

W grupie starszych odezwał się naraz White w te słowa:

— Ja cieśli przywiozłem z sobą. Ale jakże stoi sprawa z wynajęciem robotników do pracy na naszym nowym klemie, a potem w kopalni? Czy Buthleyowi powiodło się wyszukać do tego ludzi, jak miał nadzieję. Bo jakoś mi podpada, że ani jednego obcego człowieka tu nie widzę.

Buthleya wprawiło to zapytanie widocznie w ambaras. Poskrobał się za uchem i z niewesołą miną tak odpowiedział:

— Ano, człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Coprawda, to w tym wypadku zawio-

dłem się w swych oczekiwaniach. Ale nie moja w tem wina. Włóczyłem się w towarzystwie poczciwego Johna jak Marek po piekle po całej okolicy, poszukując takich ludzi. Ale nadaremno. Wszędzie spotykała mnie odmowa. O tej porze nikt jakoś nie chciał porzucać swego klemu. Byli tacy, którzy narzekali na to, że kiepskie że swej ciężkiej pracy mają zyski. Ale pocieszali się nadzieją, że może lada dnia zaświeci im gwiazda szczęścia i znajdą większą obfitość nuggetów. Na zimę to byli gotowi zgodzić się do nas, gdy już dla mrozu i śniegów nie będzie można pracować w otwartem polu. Ale zawsze jeszcze kilka tygodni do tego czasu, więc za długo nam czekać.

Na to rzekł White:

— Trudna rada. Muru człowiek głową nie przebije. Gwałtem nic można ludzi ciągnąć, boć to nie są niewolnicy. Ale trzeba o tem pomyśleć, czyby nie udało się ich zkąd inąd ściągnąć.

— I ja jestem tego samego zdania. A możemy zaraz teraz nad tem się naradzić.

Ferman zaproponował, żeby White z Johnem wybrał się w tym celu znów do Dawson City.

Ale White sprzeciwił się temu. Oświadczył, że pod tym względem należy oddać pierwszeństwo Buthleyowi.

— Nie jest on wprawdzie amatorem podróży do miasta, bo woli wolniejszem oddychać powietrzem. Ale w tym razie chyba nam tej przysługi nie odmówi. Wszak nie jest wykluczonem, że postara się chociażby o kilku górników, którzy w przyszłości bardzo nam się przydać mogą. On też jako fachowiec

najlepiej się wydowie, zkądby sprowadzić niezbędne do robót kopalnianych maszyny oraz inżynierów. Boć nikt inny z nas na tem tak dobrze się nie zna jak właśnie on.

Buthley pokręcił kilka razy głową. Było to znakiem, że ta propozycya nie bardzo mu przypada do smaku. Wolałby pozostać na miejscu.

Teraz i Ferman i White zaczęli mu przedkładać, że on najlepiej zdoła wywiązać się z tego zadania i ze względu na wspólne dobro nie powinien się od tej przysługi wymawiać. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak ostatecznie na ten projekt się zgodzić.

— Ale sam nie pojadę — mówił Buthley. — Bo chociaż ja się i rogatego djabła nie boję, to zawsze weselej w towarzystwie.

Przyznano mu słuszność i postanowiono, że tym razem ma mu John towarzyszyć. Bo Roy co dopiero wrócił z dalszej podróży, więc gdy chodziło o młodą siłę, to kolej przypadała na Johna.

John, dowiedziawszy się o tem, był z tej decyzyi dość kontent. Byłby wprawdzie wolał jechać do Selkirk, gdyż to większe miasto. Ale jeżeli los inaczej pokierował, to i na to należało się zgodzić. Zawsze lepszy rydz jak nic. A przecież i w Dawson-City nie zabraknie sposobności do wytańczenia się, chociaż nie tak długo, jak ją miał Roy w Selkirk.

Wiemy już, że John ocalił swego czasu Murambę od śmierci, a młody Indyanin odpłacał mu się za to gorącą wdzięcznością. Słyszeliśmy także, że i John czerwonoskórego młodzieńca polubił tak dalece, że wywiązał się między nimi bardzo przyjazny stósunek. Z bie-

giem czasu przylgnął John do Muramby całem sercem.

Pragnął mu więc sprawić jaką przyjemność. Teraz nadarzała się okazya do tego. Zaczął więc prosić, aby mu pozwolono zabrać kucharza — jak go zwykle z wiadomej przyczyny nazywano, do Dawson-City. A starsi chętnie na to przystali. Bo i oni nie byli od tego, aby mu tak wierną służbę w ten sposób wynagrodzić.

Muramba nie posiadał się z radości, tem więcej, że właśnie ze swym ukochanym zbawcą i przyjacielem Johnem tę podróż miał odbyć.

No i pojechali.

Tymczasem Ferman i White pokazali cieślom cały swój klem, na którym dotąd poszukiwano złota, i to z tak dobrym skutkiem. Do pracy w górze miano się zabrać dopiero później, ażby powietrze temu przeszkodziło. Ale budynek dla pomieszczenia ludzi podczas pory zimowej należało wnieść już zawczasu.

Główny majster ciesielski nazwiskiem Langford radził, ażeby zbudowano aż trzy domki, i to jeden dla Buthleya i towarzyszy, drugi dla nich, to jest cieśli, a wreszcie trzeci, największy, dla mających się zgodzić robotników i górników. Oprócz tego zalecał wznieść szopę na przechowywanie nuggetów i prowiantu. Co się tyczy pomieszczenia dla inżynierów, to nie uważano tej sprawy za zbyt spieszną, gdyż przybycie ich tak rychło nastąpić nie mogło. A w danym razie ulokowano by ich z początku w pierwszym domku, przeznaczonym dla Buthleya i towarzyszy.

Do niego też miała zostać przybudowana kuchnia wraz z alkierzykiem dla Muramby.

Plan ten wszystkim się podobał, więc bez wszystkiego nań się zgodzono.

Cieśle zabrali się też zaraz rączo do pracy. A praca szybko postępowała, gdyż na drzewie bynajmniej nie zbywało. Wszak stoki złotodajnej góry, w której później miano założyć kopalnię, porosłe były doskonałem drzewem.

Wnet też wystrzeliły w górę dachy domów, zbudowanych z silnych i ładnie ociosanych kłód drzewa.

Tworzyły one niejako małą osadę. Ale nie wzniesiono ich w nadbrzeżnej dolinie ani u podnóża góry, lecz na małej płaszczyźnie, rozciągającej się na dość znacznej wysokości gór. Było to bowiem ze względu na długą porę zimową praktyczniejsze, ponieważ stojące tam gęsto drzewa chroniły domy od zasypania śniegiem.

Udajmy się teraz myślą do Buthleya i jego młodych towarzyszy, aby zobaczyć jak im się działo.

Wcale dobrze.

Zajechali na swem czołnie szczęśliwie do Dawson-City.

Po wyszukaniu sobie gospody i wypoczynku przystąpił Buthley bez zwłoki do załatwienia różnych spraw, które mu zlecono.

A poszło mu teraz wszystko pomyślniej, jak z poszukiwaniem robotników w okolicy El Dorado-Creek.

Dowiedział się od gospodarza, u którego stanęli kwaterą, iż w jednym z pobliskich domów zajezdnych bawi właśnie agent wielkiej fabryki maszyn z San Francisco.

Buthley czemprędzej podążył na wskazane miejsce, aby się z nim osobiście w znanej sprawie rozmówić.

Pospiech ten wyszedł mu na dobre. Bo pan Lee — tak się bowiem ów agent nazywał — oświadczył mu, że miał już nazajutrz wracać do San Francisco, gdyż zwiedził już całą tutejszą okolicę. Ale ponieważ chodzi o ubicie większego interesu, przeto chętnie pobyt swój tutejszy gotów przedłużyć.

To oświadczenie było Buthleyowi naturalnie bardzo na rękę.

Przy butelce dobrego wina omówili dokładnie całą sprawę i Buthley zamówił u pana Lee kilka koniecznych dla założenia kopalni i wydobywania kruszcu maszyn i różne inne przybory górnicze.

A do tego przyrzekł usłużny agent, że postara się po swym powrocie do San Francisco o dwóch zdolnych inżynierów. Ci ostatni będą też pewnie mogli już pędzej stawić się na miejscu, aby wykonać prace przedwstępne. Maszyny natomiast nadejdą dopiero na wiosnę. I to razem z maszynami, które zamówił u niego z fabryki niejaki pan Mersey, właściciel kopalni złota w Bonanza-Creek.

Stósunki co do tego ułożyły się badzo pomyślnie, gdyż Bonanza-Creek nie był zbyt daleko odległy od El Dorado-Creck. Transport ciężkich maszyn mógł więc doznać znacznego ułatwienia, jeżeli obie strony sobie dopomogą.

I w sprawie wynajęcia ludzi do robót szczęście obrotnemu Buthleyowi dość sprzyjało. Nie dostał ich wprawdzie tyle ile ich pragnął, ale udało mu się po usilnych staraniach zgodzić pięciu. Zawsze i te dziesięć

dalszych rąk do pracy były nabytkiem, którym nie można było gardzić.

Ludziska musieli się na łeb na szyję szykować do odjazdu, gdyż Buthley, któremu nawet ten krótki pobyt w mieście już się sprzykrzył, naglił do powrotu.

Nie zanadto więc użył zabawy nasz John. Tańczył jednak kilka razy. Muramba natomiast, który przyjaciela swego prawie ani na krok nie odstępował, nie mógł się puszczać w pląsy. Raz bowiem biali niebardzo chętnie by to widzieli, a potem czerwonoskóry syn stepów nie umiał tańczyć na sposób białych. Przypatrywał się więc tylko, siedząc spokojnie jak trusia przy kieliszku, jak John i inni tańczą, czyli, jak sam mawiał, jak „się kręcą."

Po zakupieniu jeszcze niektórych rzeczy, które Buthley miał przywieść z sobą, nie czekał już ani chwili, tylko wybrał się ze swymi towarzyszami w drogę powrotną.

Pies, pozostały przy życiu, radosnem swem szczekaniem obwieścił mieszkańcom El Dorado-Creek szczęśliwy powrót naszej trójki.

Skutki złego towarzystwa.

Przysłowie mówi: „Z jakim przestajesz, takim się stajesz."

Prawdę, zawartą w tych słowach, potwierdza doświadczenie aż nazbyt często. Prawda ta okazała się niestety i tu w tak odległym od świata zakątku, jakim był El Dorado-Creek.

Poznaliśmy już w Johnie młodzieńca godnego i dobrych obyczajów. Jako młody człowiek był pełen życia i rwał się do zabawy. Lubił mianowicie tańczyć. Korzystał też ze sposobności wyjazdu do Dawson-City, aby

się w ten sposób rozerwać, o czem w poprzednim rozdziale była mowa. Ale podobnie jak Roy nie był bynajmniej hulaką. A już do rzetelności, to i najmniejszej skazy odkryć by u niego nie można.

Tymczasem miało się to ku jego wielkiemu nieszczęściu wnet zmienić na gorsze.

Pomiędzy cieślami, którzy przybyli z Dawson-City do El Dorado-Creek, znajdował się niejaki Sam Buxton.

Był on młodym jeszcze człowiekiem, zaledwie o dwa lata starszym od Johna. Ale coś niebardzo dobrze z oczu mu patrzyło.

Początkowo porówno z innymi kolegami był pilnym w pracy i wogóle nic mu nie było można zarzucić. Ale skoro zagrzał już trochę miejsca, zmienił swe postępowanie. Pokazał się takim, jakim był w rzeczywistości. Zaczął się w pracy opuszczać, a wobec głównego majstra, który musiał go nieraz napominać, stawiał się hardo i krnąbrnie. Gra w karty i to hazardowa, tańce i pijatyka były u niego wprost gorącą namiętnością.

Na miejscu nie mógł jej pod pierwszym i drugim względem puszczać wodzy. Nikt tu bowiem nie grywał w karty, chyba tylko w niedzielę. I to jedynie dla rozrywki. Były to więc gry wyłącznie towarzyskie, a w takich Sam nie miał upodobania. O tańce, gdyż tu byli sami tylko mężczyźni, także było trudno.

Za to łatwiej było można dostać wódki, gdyż w okolicy osiadło, jak nam już wiadomo, kilku kramarzy. A ci i nieszczęsne trunki mieli na sprzedaż. To też zaglądał tam częściej w wolnych chwilach lekkomyślny młodzieniec. A w niedzielę bywał u nich regu-

larnym gościem. Wracał też wtedy zwykle z ciężką głową do domu.

Ale im głowa była cięższą, tem sakiewka lżejszą. Sam trwonił w szynku zarobiony piękny grosz, który byłby mu się na lepsze cele bardzo przydał.

Przy takiej gospodarce bywało najczęściej u Sama płótno w kieszeni, a po dolarach ani dudu.

Zaczął więc przemyśliwać, jakby dojść do pieniędzy. Spoglądał coraz pożądliwszym wzrokiem na wydobywane z ziemi drogocenne nuggety. Nie był jeszcze tak skończonym łotrem, jak Morley, kulas, ślepiec, garbus i wielu innych w tych stronach, aby dopuszczać się wprost zbrodniczego rabunku. Ale pokryjomu podczas pracy tedy owedy, gdy mu niezbyt patrzano na palce, pakował tajemnie mniejszy lub większy nugget do kieszeni.

Było to możliwem, ponieważ cieśle po wykończeniu budowy domów i szopy, aż do nadejścia zimy pracowali jak zwykli robotnicy na klemie.

W ten sposób uciułał sobie Sam dość pokaźną ilość nuggetów. Przechowywał je z nadzwyczajną ostrożnością w szczelinie pomiędzy skałami góry, do której je zanosił.

Miał zamiar spieniężyć je kiedyś w mieście i — użyć do sytości gry, tańców i hulatyki, chociażby w końcu przyszło zmarnieć.

Był to więc pożałowania godny człowiek. Ale pomimo zbyt widocznych jego złych przymiotów, nie wydalono go z El Dorado-Creek. Bo pracodawcy pocieszali się wciąż nadzieją, że dobre ich rady i przestrogi może jeszcze pożądany odniosą skutek. Myśleli, że ostate-

cznie jednak się upamięta i poprawi. O kradzieży nuggetów wprawdzie nic nie wiedzieli.

A szkoda, że Sam pozostawał tam tak długo. Bo mimo wszelkich starań i zabiegów ze strony pracodawców i cieśli trybu życia nie zmienił. A oprócz tego zepsuł jeszcze drugiego, uczciwego aż dotąd ze wszechmiar młodzieńca.

Kimże był ten nieszczęśliwy?

Był nim nasz John Hastings.

Nieszczęście chciało, że Sam najchętniej do niego się zbliżał i z nim obcował, i to od samego początku.

I to wyszło na szkodę Johna.

Gdyby bowiem Sam dopiero wtedy był się z nim zaznajomił, gdy już prowadził życie rozpustne, to uczciwy młodzieniec nie byłby się z nim stykał. Byłby go od siebie odsunął, odepchnął.

Ale zaprzyjaźnili się z sobą w czasie, gdy Sam jeszcze wszystkich oszukiwał, gdy udawał porządnego człowieka.

John nie mógł się poznać na farbowanym lisie, który wewnątrz był wilkiem drapieżnym. Więc miał do niego zaufanie i darzył go swą życzliwością, a wreszcie i przyjaźnią.

Gdy stosunki doszły już do tego stopnia, stał się Sam dla Johna szatanem kusicielem. Do jego niewinnego serca sączył zwolna kroplę po kropli jadu zepsucia.

John ani się spostrzegł, gdy znajdował się już na dobre w szponach kusiciela.

Teraz mógł niegodziwiec już śmielej wobec niego występować.

Doszło do tego, że John zaczął z nim uczęszczać do szynku na wódkę. Nieraz mroczyło mu się od niej w oczach. Ale pił dalej. Je-

szcze jeden krok, a i on, podmówiony przez mniemanego przyjaciela, posunął się tak daleko, że zaczął również kraść znalezione nuggety.

Tego o nim starsi opiekunowie nie przypuszczali. Ale widząc złe skutki zadawania się z Samem, usiłowali nakłonić go, aby zerwał łączące go z niegodnym węzły przyjaźni.

Był to jednak groch, rzucany o ścianę.

John zaczął nawet coraz bardziej unikać Roya i pokazywać plecy Murambie, któremu to wielką sprawiało boleść. Za to lgnął jak mucha do miodu, do nowego przyjaciela. Każdą wolną chwilę spędzał w jego towarzystwie. Zdawało się, że obaj są niejako przykuci do siebie i rozłączyć się nie mogą.

Wiedli z sobą długie pogadanki, ale na osobności tak, że treść ich nie była reszcie znaną.

Podsłuchajmy jedną z takich rozmów.

— No, przecież raz wreszcie przekonałem cię, że głupstwem siedzieć tu jak pustelnik na puszczy. Jesteśmy młodzi, więc trzeba nam użyć świata, póki służą lata.

— Ano, toć masz słuszność — brzmiała odpowiedź Johna. — Ale zawsze ciężko by mi było okraść według twej rady jeszcze więcej tych ludzi i potem z tobą czmychnąć. Oni mnie wyświadczyli tyle dobrego. A i w ogólnym zysku odpowiedni chcą dać udział.

— Obiecanka cacanka, a głupiemu radość.

— Ale ja ani na chwilę nie wątpię, że dotrzymają słowa.

— Niechajby i tak było. Ale zawsze odrazu się zbogacić to milej, jak czekać na to i

ciężko pracować tak długo. Doprawdy nie myślałem, że taka z ciebie baba. Brak ci zapewne odwagi.

— Co do tego, to się mylisz...

— Więc pokaż to czynem. Słowa to wiatr.

I rozmowa na ten temat jeszcze długo się ciągnęła. Pomimo wszelkich podszeptów ze strony Sama, John jednak planom jego stawiał opór.

— Ale na cóż wódka — pomyślał niezrażony tem niepowodzeniem kusiciel. — W niedzielę spoję go doskonale, a pewnie więcej wtedy wskóram.

I poszli znów w niedzielę do szynkowni.

W mocno podpiłym stanie udało się łotrowi dostać Johna całkiem w swoje sidła.

Umówili się, że w najbliższy już wtorek wykonają ukuty przez Sama plan. Pod osłoną nocy ściągną pokryjomu jeden z małych worków z nuggetami, które leżały w szopie, aby ciężar nie był zbyt wielki. Potem pójdą do podnoża góry i tam ze szpary w skale zabiorą nagromadzony powoli za pomocą kradzieży zapas złota i z tą zdobyczą ulotnią się następnie do Dawson-City. Tam zabawią się tak od serca, a potem powędrują w obce zupełnie strony.

John nie posiadał już tyle siły moralnej, aby w ostatnej jeszcze chwili przed tak występnym krokiem się cofnąć.

Pies nie zaszczekał, boć to byli domowi. Więc o umówionej porze wykonała nasza para hultajska swój zamiar.

Nuggety ciążyły im wprawdzie dość przykro, ale mozolili się, aby jaknajwięcej pieniędzy za nie dostać.

Na drugi dzień rano dopiero zauważono w El Dorado-Creek nieobecność młodych ludzi.

Stwierdzono też brak worka z nuggetami. To wyjaśniło ich zniknięcie. Chciano puścić się w pogoń, ale tyle tu było śladów nóg ludzkich, że niepodobna było wymiarkować, dokąd się skierowali.

Okropne przygnębienie wszystkich ogarnęło. Że zginął Sam, tego nie było powodu żałować. Ale smutno im było, że i John mógł coś podobnego uczynić.

Najbardziej bolał nad tem Ferman. Boć był do pewnego stopnia opiekunem i stróżem młodego Johna. Spoczywała na nim odpowiedzialność wobec jego ojca, który mu syna swego powierzył.

To też nie mógł ani jeść ani pić ze zmartwienia. Nie wziął też przez kilka dni ani rydla ani motyki do ręki. Siedział najwięcej w głębokiej pogrążony zadumie. Przemyśliwał nad tem, jakby odszukać zbłąkaną owieczkę i z manowców na dobrą zwrócić drogę.

— Już wiem co zrobię — odezwał się razu pewnego do Whitego, który go właśnie pocieszał. — Prawie nie wątpię, że zbiegi udali się przynajmniej na jakiś czas do Dawson-City. Boć potrzeba im będzie gotówki. A to najbliższe ztąd miasto. Czemprędzej więc sam tam podążę. A Bóg dobrotliwy może pobłogosławi mym dobrym chęciom i uchroni Johna za mem pośrednictwem od ostatecznej zguby.

I zaraz dnia następnego wybrał się w drogę.

Ale wróćmy teraz do uciekinierów, aby zobaczyć, jak im dalej poszło.

W jednej z oberż w Dawson-City wieczorem nader gwarno i wesoło. W głównej sali rznie muzyka od ucha. Liczny szereg par bawi się w tany. A coraz słychać głośniejsze wybuchy wyuzdanej radości.

Między tancerzami uwija się i pewien nasz znajomy.

To John.

W pobocznym lokalu prosty stół otoczony dokoła gośćmi. Grają w karty. Przy każdym graczu kupka pieniędzy. Kupki te się zmieniają, to zwiększają się, to maleją. Bo raz wygrywa ten, to znów inny przegrywa.

Nie brak i butelek z wódką. Co chwila gracze pokrzepiają się tym nektarem — dyabelskim.

Naraz powstaje zgiełk i wrzawa.

— Grasz fałszywie, padalcu! — huknął jakiś brodacz, który właśnie przegrał pieniędzy.

— Łżesz psi synu! — odpowiedział przepitym głosem jakiś młody człowiek.

Brodacz tymczasem powstał. Z błyskawicą w oczach porwał za ciężką butelkę i rzucił nią z całą siłą w głowę przeciwnika.

— O jej! Ratujcie! — wyjąkał ugodzony ciężkim pociskiem. Potoczył się i runął na podłogę.

Były to ostatnie w życiu jego słowa.

Już nie żył.

A był to Sam Buxton, uwodziciel Johna.

Jakie życie, taka śmierć. Żył marnie i marnie zginął.

Mało użył z tego złota, które sobie nieprawnie przywłaszczył.

Można sobie wystawić, że hałas, który w tym lokalu powstał, zwabił wszystkich w obe-

rży się znajdujących. Nawet tańczący się zbiegli.

John zadrżał konwulsyjnie, skoro w zabitym poznał swego przyjaciela Sama.

Wtem otwierają się drzwi. Do lokalu wchodzi nowy gość.

To Ferman.

Prędko obejrzał się po lokalu. Ujrzał, co się stało. Domyślił się natychmiast co było powodem tego strasznego zajścia.

— Nieszczęsna wódka i karty... — szepnął sam do siebie.

A po chwili dodał:

— To Sam, złodziej i uciekinier... Pewnie więc i Johna tu znajdę.

Znów obejrzał się dokoła.

I znalazł Johna.

Młodzieniec stał, jak w ziemię wryty z wzrokiem osłupiałym z przerażenia, wstydu — i żalu.

— Chodźmy ztąd — rzekł łagodnie Ferman.

I ująwszy Johna pod rękę, wyprowadził go z tej oberży.

John szedł jak bezwładny.

Nie zamienili po drodze ani słowa. Dopiero, gdy weszli do jednego z porządniejszych pokoików, Ferman pierwszy tak się odezwał:

— Widziałeś, mój kochany, do czego prowadzi złe życie. Nie chcesz na podobne narazić się niebezpieczeństwo, wejdź w siebie i stań się znów uczciwym człowiekiem. Bo tylko uczciwy może być szczęśliwy. Szkodaby ciebie, gdy byś zmarniał. Bo tylko złe towarzystwo cię zepsuło.

Tu strumień łez gorących trysnął z oczu młodzieńca. Szlochał tylko, nie mogąc jeszcze

wymówić ni słowa i kurczowo ściskał rękę swego opiekuna.

To wystarczyło.

Ferman był pewnym, że John wróci do starego trybu życia, że szczerze się nawrócił.

Łza radości zabłysła w źrenicy tego zacnego człowieka. I rzekł:

— Dzięki Ci Boże, że wysłuchałeś mych modłów. Ufność moja mnie nie zawiodła...

Tę noc spędzili obaj w owej gospodzie. A już następnego poranku wyruszyli w drogę do domu.

W El Dorado-Creek całe grono znajomych powitało przybyszów z większą aniżeli kiedykolwiek radością.

A byli tyle delikatni, że nikt nigdy ani słowem nie przypomniał Johnowi jego złego czynu.

Odtąd John, Roy i Muramba tworzyli nierozerwalną trójkę przyjacielską, z czego starsi byli wielce zadowoleni.

Praca szła znów tem raźniej i ochoczej. To też poprzednią stratę nuggetów wnet w dwójnasób powetowano.

Przyjazd inżynierów.

Upłynęło znów kilka tygodni. Czasami powietrze bywało już tak dokuczliwem, że tylko w dobrze opalonych domach pobyt był znośnym.

Na szczęście nie brakowało naszym znajomym opału. Las był tuż pod ręką, więc narąbano już zawczasu tyle drzewa, że wielkie stosy drewek leżały tuż w pobliżu szopy.

Pewnego dnia zaszczekał pies. Dał znać, że zbliża się ktoś obcy.

Wszyscy wyjrzeli ciekawie, boć w tych stronach odwiedziny należały do bardzo rzadkich wypadków.

Nie było obawy, żeby ktoś w złych zbliżał się zamiarach, gdyż ujrzano tylko dwóch przyzwoicie ubranych mężczyzn. Więc wobec daleko większej liczby własnych ludzi w żadnym razie nie groziło osadzie ani na nowo gromadzonym zapasom nuggetów niebezpieczeństwo.

Buthley wyszedł kilkadziesiąt kroków na powitanie obcych.

Przybysze skłonili się w grzeczny sposób na powitanie. Na pierwszy rzut oka znać po nich było, że to ludzie wykształceni i ogładzeni.

Buthley jednak się jeszcze nie domyślił, kto to być może. Niebawem jednak ciekawość jego została zaspokojona.

Obcy przedstawili się jako inżynierzy. Oświadczyli też, że przybywają z bardzo daleka, gdyż aż z San Francisco.

— A to pewnie panów przysłał tu pan Lee, agent owej wielkiej fabryki, w której zamówiliśmy różne maszyny — rzekł uradowany Buthley.

Tak też było w istocie.

I reszta mieszkańców naszej osady przywitała tę pomyślność z szczerem zadowoleniem.

Ferman dał temu wyraz w tych słowach:

— A to ładnie ze strony tego pana, że dotrzymał słowa.

White zaś dodał:

— A do tego przybyli panowie znacznie rychlej aniżeli spodziewać się mogliśmy. Jeżeli pan Lee w tym punkcie rzecz tak dobrze załatwił, to i co do dostawy zamówionych maszyn i narzędzi możemy być spokojni.

— Ale teraz — odezwał się Buthley — trzeba, aby ci panowie po tak dalekiej podró-

ży wypoczęli. Przedewszystkiem zaś należy im podać posiłek.

Hej Muramba — zawołał — zabierz się do gotowania, a pokaż, co umiesz. Bo panowie z tak wielkiego miasta mają delikatne podniebienie.

Muramba spiesznie zakrzątał się w kuchni i wkrótce posiłek był na stole. A przybysze jedli z widocznym apetytem. Czerwonoskóry kucharz wnosił z tego, że im jadło smakowało.

Już następnego poranku obejrzeli sobie inżynierowie w towarzystwie Buthleya dokładnie górę, w której miano założyć kopalnię. Zbadawszy rys w skale, w której znajdowała się żyła złota, orzekli, że jest ona nadzwyczaj długą i zawiera mnóstwo drogocennego kruszczu. Zapowiedzieli też, że według wszelkiego prawdopodobieństwa takich żył wiele w skałach się znajduje. Można się też spodziewać, że niektóre z nich będą jeszcze znacznie obfitsze.

O ile to bydło na prędce możliwem, robili dalsze badania i stwierdzili, że w swych przewidywaniach się nie mylili.

Ale okazała się potrzeba sprowadzenia większego zapasu prochu do rozstrzeliwania skał. Bo to, co obecnie znajdowało się w osadzie, na wykonanie większych prac nie wystarczało.

Niecierpliwy Buthley kwasił się, że nikt przedtem o tem nie pomyślał. Ale Ferman uspokoił go doświadczeniem, że przecież nikt nie mógł wiedzieć, iż panowie inżynierowie tak nadspodziewanie rychło się tu zjawią.

Na to odezwał się Buthley:

— To właściwie prawda. Ale teraz, gdy ich tu już mamy, musimy się pospieszyć, aby zaopatrzyć się w potrzebny zapas prochu. Bo byłoby to naszą szkodą, gdyby rozpoczęcie większych prac dla zapoczęcia kopalni miało się zanadto opóźnić.

I miał słuszność, gdyż inżynierowie wymówili sobie po dziesięć dolarów płacy dziennej.

Ponieważ spadł już i śnieg, zrobili cieśle naprędce z drzewa narty czyli rodzaj długich łyżew, za pomocą których podróż szybciej odbywać się mogła. Oprócz tego przygotowali kilka par długich drążków, okutych na końcach ostrem żelazem, co do takiej wędrówki po śniegu bardzo było przydatnem.

Bo o podróży wodą teraz już mowy być nie mogło. Rzeki były zanadto ubogie w wodę, tak że żegluga była wykluczona.

Było to już w pierwszej połowie października, gdy Buthley, White i Ferman udali się do Dawson-City.

Na wszelki przypadek byli, jak zwykle podczas podróży w tych stronach, uzbrojeni w karabiny i rewolwery. Oprócz tego zabrali dwaj ostatni jako zawodowi traperzy długie noże myśliwskie oraz torby. Te ostatnie służyły też zarazem do pomieszczenia trochę żywności na drogę.

Podróż na nartach po dość obfitym śniegu odbywała się dość szybko. Stanęli też szczęśliwie u celu.

W mieście panowało teraz ruchliwsze życie, niż podczas lata. W lecie bowiem ludziska pracowali na klemach. Teraz zaś wielu z nich wróciło, gdyż z powodu zimna i śniegu robota albo już całkiem była zakończona, albo też

przerwana aż do wiosny. A w lekkich chatach z desek siedzieć bezczynnie, nie było bynajmniej przyjemnością. W mieście też było weselej i nie zbywało sposobności do użycia różnorodnej rozrywki.

To też w oberżach, szynkach i zajazdach było ludno i gwarno.

Tu przygrywała do tańca kapela. Tam grono mężczyzn siedziało przy kartach. W innem miejscu gwarzono. A wszędzie stało na stole wino, a jeszcze częściej wódka. Rozlegał się śmiech, okrzyki, podskakiwania tańczących.

Od czasu do czasu zanosiło się też na burzę. Ale wkraczał właściciel lokalu i najczęściej udawało mu się przywrócić zgodę i spokój.

Szynkarze aż ręce zacierali z radości.

Robili dokonały interes. Bo ludzie przybyli z klemów mieli dolary w kieszeni. A nie oszczędzali ich. Zresztą przegrał jeden z szystko co zebrał za nuggety, lub zarobił przy pracy u innych, to dolary wędrowały do kieszeni drugiego, a ten tem więcej wtedy mógł sobie pozwolić, tem więcej wydawał.

Nasi znajomi należeli do tych, którzy spędzali wolny czas na pogadance. Żaden z nich ani tańczył ani nie wziął kart w rękę.

Inaczej byłoby zapewne, gdyby młodzi byli z nimi. Taki John lub Roy zapewne nie byliby usiedzieli na miejscu, słysząc dźwięki skocznej muzyki. Starszym już się nie chciało kręcić się, jak mawiał Muramba.

Swoją drogą trójka nasza, to jest Buthley, White i Ferman, wypiła też kilka butelek wina. Bo raz nie wypadało siedzieć tak na sucho

w lokalu, gdzie chciano zarobić. A potem i pogadanka przy napitku raźniej szła.

Drugiego dnia, po należytem wyspaniu się, zaczęli załatwiać interesy i robić zakupna.

A było tego niemało. Bo potrzebny im był, jak nam już wiadomo, znaczny zapas prochu do rozsadzania skał. Dalej mieli znów przywieźć sporo świeżego prowiantu. Oprócz tego życzył sobie ten i ów z pozostałych w domu jakichś drobnostek. A wreszcie należało nabyć i dwie pary sanek, aby módz na nich przewieźć do El Dorado - Creek zakupione towary. A ponieważ sanki same o własnej sile posuwać się nie mogą, ludziom zaś byłoby zbyt trudno je ciągnąć, przeto trzeba też było obejrzeć się za psami, któreby to zadanie spełniły.

Właśnie ta ostatnia sprawa sprawiała naszym znajomym najwięcej kłopotu.

Bo potrzeba było psów przynajmniej dwanaście, po sześć do każdych sanek. Musiały to też być psy odpowiadające celowi, a więc rosłe, silne i dobrze ujeżdżone. A takich, i to w takiej ilości, nie można było zbyt łatwo dostać.

Musieli dużo chodzić, pytać się i szukać.

Ale w końcu szczęśliwym trafem i to się udało. Przyjechało bowiem do Dawson - City kilku traperów, którzy po sprzedaniu swych skór i futer psów już nie potrzebowali. I ci sprzedali je naszym znajomym.

Cena była wprawdzie dość wygórowana, ale z konieczności trzeba się było i na to zgodzić.

Chociaż więc trójka nasza musiała dość głęboko sięgnąć do kieszeni, jednak w gruncie rzeczy była z dobicia targu zadowoloną. Wszak

psy i na miejscu, to jest w ich osadzie, były i przydać im się mogły. A chcąc podczas zimy od czasu do czasu wybrać się za sprawunkami do miasta, obyć się bez tych pożytecznych zwierząt było niepodobnem.

Jako pożywienie dla psów kupiono spory zapas suszonego mięsa bawolego, a na drogę oprócz tego osobno dla nich kilka bochenków chleba.

Po załatwieniu wszystkich interesów puszczono się w podróż powrotną.

Psy nie zawiodły. Harty również spełniły swą powinność. Podróż przeto dość szybko się odbywała. Aż tu naraz powstała gwałtowna śnieżyca.

Śnieg zaczął padać wielkiemi płatami. Do tego dął szalony wicher, który je nietylko ludziom, ale i psom zwiewał w oczy, tak że widzieć nic nie było można.

Dalsza jazda w takich warunkach była niemożliwą.

To też nasza karawana z pospiechem stanęła, ukrywając się za wysokim brzegiem rzeki, wzdłuż której odbywała swą podróż.

To dawało przynajmniej pewną ochronę. Ale całkiem od zawieji uchronić nie zdołało.

Grono wędrowców siedziało więc skulene w śniegu jak stado kuropatew. Czekali, ażby owa burza śnieżna minęła.

I jakoś mieli szczęście.

Po upływie dobrych dwóch godzin wicher przestał przeraźliwie świszczeć. Wnet ustał prawie zupełnie. A i śnieg przestał padać. Niebo się znów wypogodziło.

— Teraz dalej koledzy! — wzywał Buthley. — Spieszmy się, żeby jaknajprędzej stanąć w domu i mieć dach nad głową. Bo nie chciał

bym, żeby nas druga taka śnieżyca zaskoczyła. A i wy pewnie za tem nie tęsknicie.

Wszyscy więc porwali się na nogi. I psiska zziębnięte podniosły się żwawo.

Widocznie wolały pędzić, choć musiały ciągnąć sanki z dość ciężkim ładunkiem, jak leżeć cicho przy takiej iście psiej pogodzie.

Wszyscy odetchnęli, gdy już zdaleka ujrzeli dachy zbudowanych na górze domów.

Nawet psy, chociaż tu jeszcze obce, cieszyły się, że się ta uciążliwa podróż skończyła.

Po wyprzągnięciu wnet się zaznajomiły i pokumały z Plutonem — tak się nazywał jedyny dotąd pies — w osadzie.

Nawet nie gryzły się. Zapewne obce psy zanadto były zmęczone. A co do Plutona, to zdawało się, że jest kontent, iż będzie miał tu towarzystwo przedstawicieli swego rodu, niejako kolegów.

Na miejscu dowiedzieli się przybysze, że i tu szalała w tym samym czasie wichura z obfitym śniegiem. Ale obyło się bez wszelkiego wypadku. Domy były przez cieśli tak silnie zbudowane, że wytrzymały i najgwałtowniejsze ataki tej zimowej burzy.

Muramba musiał zaraz zabrać się do swej kucharskiej czynności, aby przybysze ciepłą strawą posilić się mogli. Psy czemprędzej wyprzężono, aby wypocząć mogły. Towary zniesiono do szopy.

Polowanie na niedźwiedzie.

Zima w tych stronach ostra i długa.

W dni powszednie czas przy pracy upływał dość szybko. Ale w niedziele bywały i nudy.

Aby je rozpędzić, grywał Roy częściej na harmonice. Oprócz tego przywieźli inżynie-

rowie z sobą nieco książek, z których po kolei każdy z nich głośno czytywał. Reszta z pilną uwagą słuchała. Dawali też różne objaśnienia, jako że byli ludźmi wykształconymi. Więc był z tego i niemały pożytek. Muramba robił też zwykle doskonały grok. A przy miłej pogadance długie godziny tem przyjemniej upływały.

Swoją drogą nie zapominano i o modlitwie. Albo White albo Ferman, a czasami i Buthley czytywali jaki ustęp z religijnej książki. Potem następował wspólny śpiew. I to zastępowało całej osadzie nabożeństwo, gdyż duchownego w całej tej okolicy nie było.

Było to w drugiej połowie stycznia. Powietrze, choć mroźne, było piękne i suche. Od kilku już dni nie spadł świeży śnieg.

I gdy tak znów siedziano w niedzielę przy wspólnej pogawędce, White tak się odezwał:

— Wiecie co, przyjaciele, ja jestem starym traperem, to jakoś odezwała się we mnie znów żyłka myśliwska. A tu tak dawno nie polowałem, że człowiek gotów zupełnie wyjść z wprawy. I Ferman, który również strawił zęby w zawodzie traperskim, nie byłby pewnie od tego, znów się z fuzyą trochę przewietrzyć. A i futra ciepłe w tych mrozach oddałyby nam pożądane usługi. Myślę więc, że nie byłoby od rzeczy, urządzić na kilka dni wyprawę myśliwską.

Przy tych słowach Ferman aż się podniósł ze swego siedzenia. I w nim krew myśliwska zakipiała.

— Dobrze, bracie! — zawołał. — doskonały to pomysł. Toć na nuggetach — Bogu dzięki! — nam nie zbywa. A i nasza kopalnia, choć to dopiero początek, dostarczyła nam spo-

ro złota. Więc moglibyśmy w istocie poświęcić spokojnie kilka dni, aby się przewietrzyć i może zaopatrzyć w piękne futra. — Ale i ja wraz z Johnem radbym wam towarzyszyć — zawołał Roy.

John zaś dodał:

— Jeżeli wolno prosić, to weźmy z sobą i kucharza. Toć Muramba przy ciągłym ogniu już prawie sam się upiekł. Przydałoby mu się więc trochę przemrozić.

— Kiedy już was porwał taki zapał — zabrał wreszcie głos Buthley — to trudno się sprzeciwiać. Nasi młodzi naturalnie też pójdą. Ale możeby i panowie inżynierowie mieli ochotę wybrać się na łowy?

Ci jednak oświadczyli, że wolą pozostać w domu. Bo nie chcieliby, aby pracę w kopalni zupełnie przerwano, zwłaszcza że zajęci byli właśnie wykończeniem sztolni czyli ganku podziemnego w kopalni. Zresztą nie byli myśliwymi, gdyż podczas nauk w wielkiem mieście nie mieli dotąd sposobności uczestniczyć w polowaniach. Jako niestrzelcy nie mogli by też przy tem być pomocnymi.

Łowy zostały postanowione, i to już na najbliższe dni. Zalecało się bowiem korzystać z pięknej zimowej pogody, a nie czekać, aż może znów nastanie zawierucha.

Ponieważ zakupione niedawno w Dawson-City sanki były zbyt wielkie i ciężkie, przeto zrobili cieśle sanki mniejsze i lżejsze. Takie też wśród drzew i skał łatwiej przedostać się mogły. A sanki należało zabrać z sobą tak do transportu prowiantu jako też skór, które spodziewano się zdobyć na polowaniu. A przecież psów było poddostatkiem.

Do pomocy uchwalono też wziąść z sobą tych kilku Indyan, którzy wraz z Murambą pozostawali jeszcze w El Dorado-Creek.

Buthley sam oświadczył, że w tej wyprawie udziału nie weźmie, gdyż ktoś musi dla straży całej osady i zapasu złota pozostać w domu.

Skoro wszelkie przygotowania były ukończone, cała karawana, serdecznie przez pozostających w domu żegnana, wybrała się w drogę.

Puszczono się ku górom Chippeway, tworzącym północne kończyny łańcucha gór Rocky-Mountains, po przeciwnej stronie rzeki.

Jak słyszano, znachodziły się tam dość licznie niedźwiedzie.

Rzeka była już oddawna grubym lodem pokryta. To też przeprawa poza nią nie sprawiała żadnych trudności.

Na samym początku jednak nie miano szczęścia. Nie znaleziono śladu nietylko niedźwiedzi, lecz żadnéj innej zwierzyny.

Nadszedł też już wieczór, i to, jak w tej porze roku bywa, bardzo wcześnie.

Trzeba się było gdzieś na noc ulokować.

W tym celu wybrano miejsce, zasłonięte wysoką skałą i chroniącą w ten sposób od mroźnego wiatru. Indyanie naznosili sporo gałęzi, tak iż można było rozniecić i podtrzymywać ogień.

Muramba i tu przydał się jako kucharz. Wnet wystawił wieczerzę, którą cała gromada

się posiliła. Nie zapomniano naturalnie i o psach, którym już głód dokuczać poczynał. Potem zapalono fajki i gwarzono przy groku przez dłuższy czas. Nakoniec wszyscy ułożyli się do snu, owinięci w grube derki i kołdry oraz owcze futra.

Tak upłynęła noc bez wszelkiego wypadku.

Rano spożyto śniadanie i puszczono się dalej na łowy.

Teraz szczęście lepiej naszym znajomym sprzyjało.

Zaledwie uszli z godzinę drogi w kierunku północnym, a ujrzeli wydeptane w śniegu szerokie ślady łap niedźwiedzich.

Było to w niezbyt szerokiej dolinie, ciągnącej się między skałami.

Że na ten widok serca myśliwych radośnie bić poczęły, rozumie się samo przez się.

Spiesznie postępując za śladami niedźwiedzia, zbliżyli się do skalistej góry i znaleźli wkrótce dość wąską szczelinę w skale. Szczelina ta ku wnętrzu coraz bardziej się rozszerzała i prowadziła do dość obszernej jamy czyli pieczary.

— Tam z pewnością misie mają swe legowisko — odezwał się White. — Tam ich leże zimowe, z których wychodzą tylko rzadko na dwór, jeżeli głód zanadto im dokucza.

— Dalej! Dalej! — dorzucił Ferman, u którego żyłka myśliwska na dobre się odezwała, nagląc do pospiechu.

Zapalono głownie, aby można ciemną jaskinię oświetlić. Mieli je Roy i John, podczas gdy Muramba ku swemu ubolewaniu wraz z resztą Indyan pozostać musiał przy saniach

u wejścia do jamy. Byłby też chętnie wszedł do niej wraz z myśliwymi, lecz względy, praktyczne nakazywały nie brać z sobą zbyt wiele ludzi. Wszak w pierwszej chwili nie wiedziano nawet, czy większa liczba zdołałaby się w niej pomieścić tak, aby nie być strzelcom przeszkodą.

Jama była jednak, jak już wspomnieliśmy, dość obszerna.

W głębi jej zauważyli nasi znajomi przy świetle swych pochodni parę brunatnych niedźwiedzi.

Były to wspaniałe okazy swego gatunku.

Właśnie podnosiły się. Widocznie zbudził je szelest zbliżających się kroków oraz szczekanie niecierpliwiących się psów, które je zwietrzyły.

Ferman pierwszy wypalił. A strzał był tak celny, że trafiony śmiertelnie niedźwiedź nie miał nawet czasu stanąć na nogi.

Przewrócił kozła. Był już nieszkodliwy.

Gorzej poszła sprawa z niedźwiedzicą. Przerażona hukiem i widząc co spotkało jej małżonka, wydała z siebie ryk przeraźliwy, który złowrogiem echem odbił się o skaliste ściany jaskini. Równocześnie wspięła się na tylne nogi i ruszyła naprzeciw napastnikom.

Ale w tej chwili padł znów strzał. Tym razem White dał ognia. Lecz mimo nieustraszonej swej odwagi, chybił. Ręka mu drgnęła, gdy pociągnął za cyngiel. Kula drasnęła niedźwiedzicę w łopatkę i strzaskała jej kość.

Ranne zwierzę popadło jakby w szał wściekłości. Mrucząc i rycząc oraz kulejąc gotowało się do strasznego natarcia.

Młodzieńcom aż oddech zamarł w piersiach na ten widok okropny.

Ranna bestya była już tuż blisko Whitego, który chciał dać do niej drugi strzał. Lecz fuzya w tej krytycznej chwili zawiodła.

Zdawało się, że niedźwiedzica obejmie go swemi łapami jakby w żelazne kleszcze i kości mu połamie. Już silnemi pazurami rozdarła lewe ramię myśliwego, tak iż trysnęła z rany krew obficie. Ale teraz przyskoczył koledze dzielny Ferman na pomoc. Wydobywszy z błyskawiczną szybkością z za pasa długi i ostry nóż myśliwski, wepchnął go aż po samą rękojeść w piersi czworonożnego napastnika.

Ferman ugodził w serce niedźwiedzicy.

Runęła jak kłoda zwalona u nóg jego.

White ocalał. Wobec przelękłych młodzieńców uścisnął serdecznie prawicę swego wybawcy, dziękując mu za skuteczny ratunek.

— Inaczej — mówił — byłbym niechybnie tą wyprawę łowiecką życiem swem przypłacił. Nawet jako traper nie znajdowałem się nigdy w tak wielkiem niebezpieczeństwie.

— Bogu niech za to będą dzięki — odrzekł wzruszonym głosem Ferman — że za moją pomocą ocalił cię od śmierci. Ale teraz trzeba czemprędzej opatrzyć twą ranę. Mam nadzieję, że się zagoi, tak iż to ci nie przyniesie szkody.

Roy i John świecili znów swemi głowniami. Wszyscy wyszli na dwór. Ferman wyjął z tobołka, znajdującego się na saniach, co było potrzeba, obmył i obwiązał ranę. Obejrzawszy ją dokładnie, oświadczył też, że niema obawy, aby rana była zbyt niebezpieczną.

Chciał jednak na miejscu zawracać do osady w El Dorado-Creek, aby ranny mógł w osadzie troskliwszej doznawać opieki i pielęgnacyi.

Ale White ani słuchać o tem nie chciał. Tłomaczył się uporczywie.

— A to dopiero był ładny przykład dla naszych młodych przyjaciół. Kto się nadaje na polowanie na niedźwiedzia, musi być na złą przygodę przygotowany. Większą przykrość od tej rany sprawia mi to, że w dalszych łowach nie mogę brać czynnego udziału i przez dłuższy czas niezdolny będę do pracy w kopalni. Ale trudna rada. Muszę się i z tą myślą pogodzić.

Pójdę ja z wami dalej, a jeżeli już inaczej służyć wam nie mogę, to wyręczę przynajmniej po kolei Roya i Johna, aby oni tem więcej myśliwskiej przyjemności użyć mogli.

Powoli uspokoili się wszyscy uczestnicy tej wyprawy.

Muramba ze swymi czerwonoskórymi ziomkami wyciągnął przy świetle zapalonych znów pochodni olbrzymie cielska ubitych niedźwiedzi na dwór.

Niebawem ściągnięto z nich cenną skórę, aby ją wysuszyć. Przednie cztery łapy, które uchodzą za rodzaj delikatesu, ucięto a także tylne szynki, aby po kilku dniach zrobić z nich pieczyste.

Muramba, przywiązany do białych, żałował szczerze, iż Whitego tak smutna spotkała przygoda. Ale na widok tak pięknych kawałów mięsa wnet się rozweselił.

Reszta mięsa i wnętrzności służyć miały jako pożywienie dla psów.

Teraz udało się całe grono wspólnie do jaskini, aby ją sobie lepiej obejrzeć.

Długość jej wynosiła około ośm, a szerokość do pięciu metrów. Była też dobre sześć metrów wysoka.

— To wcale niezły salon — odezwał się White, chcąc wszystkich rozerwać. — Gdyby tak nasz Roy miał tu z sobą harmonikę, to moglibyśmy potańczyć. Prawie szkoda, że nie zabrał jej z sobą, ale widocznie nie miał ochoty przygrywać niedźwiedziom. A ja niestety jako inwalida chyba tylko tak mógłbym tańczyć, jak niedźwiedzica, gdy ją postrzeliłem...

— Ranny, a takie żarty stroi — wtrącił Ferman. — To dopiero zuch! Bierzcie z niego przykład, wy młodzi. Ale teraz żarty na stronę. Tu rzeczywiście wygodnie w tej niedźwiedziej siedzibie. Proponuję, abyśmy pozostali tu aż do jutra rana. Na dziś dość wrażeń i dość zdobyczy. Jutro zaś dalej się wybierzymy.

Wniosek ten został jednogłośnie przyjęty. To jest przez białych, gdyż czerwonoskórych, mimo całej dla nich życzliwości, z wyjątkiem Muramby, nie pytano o zdanie.

Wyprzężono wnet psy i wzięto je do jaskini, gdzie rzuciły się chciwie na ofiarowane im wnętrzności niedźwiedzie. Smakowały im widocznie, chociaż Muramba ich nie upiekł. Za to zabrał się do przyrządzenia ciepłego posiłku dla naszej drużyny, a przy buchającym płomieniu ognia poszło to bardzo szybko.

Od ognia jaskinia dobrze się ogrzała, więc w nocy wszyscy spali doskonale.

Nawet White tylko kilka razy z bólu na krótko się przebudził.

W ciągu następnego dnia ubili nasi myśliwi kilka lisów. Skóry ich zabrali naturalnie z sobą.

A dodać wypada, że chcąc młodym sprawić przyjemność i odszkodować poniekąd za to, że nie było im danem ubić niedźwiedzia, Ferman prawie tylko im samym do nich strzelać pozwolił. Sam zabił tylko jeden egzemplarz lisiego rodu.

Muramba cieszył się bardzo, iż i on mógł oprócz swej sztuki kucharskiej pokazać się także ze swą sztuką myśliwską. I on zastrzelił tęgą lisicę.

Podczas dalszej wyprawy ukazała się ku wielkiej radości naszych znajomych inna zwierzyna.

Były to bobry, których futra są bardzo przydatne.

Wejścia do kunsztownie urządzonych mieszkań tych zmyślnych zwierząt znajdowały się pod wodą. Aby się więc do nich módz dostać, wygryzły w lodzie otwory, rodzaj przerembli. Przez nie też wypływały na powierzchnię, aby dotrzeć do brzegu lub łowić ryby, służące im jako pokarm.

Całe stadko tych zwierząt spostrzegli nasi myśliwi na lodzie. Aby ich nie spłoszyć, rozstawili się z wielką ostrożnością w kilku punktach nad brzegiem rzeki i czekali, aż zbliżą się do brzegu.

W ten sposób udało im się ubić kilka sztuk tej zwierzyny. Zabrano tylko ich skórki, gdyż mięsa bobrów nietylko ludzie jeść nie mogą, lecz nawet psy niem gardzą.

Na tem skończyło się już polowanie. Raz bowiem nie udało się już nigdzie odnaleść śladów niedźwiedzi, a w dodatku Ferman do-

magał się stanowczo powrotu do domu. Uległ początkowo życzeniu Whitego, aby po znanym wypadku z niedźwiedzicą nie zaniechać łowów, ale nie chciał pozwolić na to, żeby ranny zbyt długo pozostawał na tak ostrym mrozie. To bowiem pomimo bardzo twardej natury mogłoby mu ostatecznie zaszkodzić.

Wrócono więc tą samą drogą do jaskini, w której stoczono przedtem walkę z niedźwiedziami i tam znów przenocowano. Następnie odpoczęto na owem miejscu przy skalistej górze, gdzie spędzono pierwszą noc. Potem zaś wprost podążono do El Dorado-Creek.

Psy tak rączo ciągnęły sanie z ładunkiem skór, że ludzie ledwie zdążyć mogli za niemi. Psiska, jak się zdaje, wiedziały, że to podróż powrotna, jak to u koni zwykle bywa, które do domu również prędzej spieszą, aby się dostać pod dach i do żłobu.

Wyprawa nasza stanęła też szczęśliwie w osadzie.

Witano ją tam tak samo serdecznie, jak ją przed kilku dniami żegnano. Zwłaszcza Buthley cieszył się wielce z powrotu towarzyszy.

Ubolewał tylko gorąco nad tem, że poczciwy White wrócił z ciężką raną. Ale on sam starał się znów wszystkich uspokoić i mówił:

— Ano, bestya powitała mnie i pożegnała zarazem inaczej, jak wy, moi kochani koledzy i przyjaciele. Ale co prawda, to byliśmy w ich domu nieproszonymi gośćmi. A nawet rozbójnikami. A wszakże i my napastników także niebardzo grzecznie swego czasu przyjęliśmy. Zresztą Ferman, mój zbawca, odpłacił niedźwiedzicy pięknem za nadobne. Teraz to już i panowie inżynierowie, chociaż nie są

myśliwymi, mogliby spokojnie wejść do tej jaskini, tak jak się obracają w naszej kopalni.

Te słowa rannego wywołały śmiech u towarzyszy.

Żartobliwe odezwanie się Whitego świadczyło też o tem, iż nie czuje się zanadto chorym i osłabionym.

A wobec wygody i bardzo troskliwej pielęgnacyi, której w osadzie doznawał, rana jego szybko się goiła.

Humor jego wzmagał się też coraz więcej. I tak gdy Roy znów pewnej niedzieli na swej harmonice wyprawiał muzykę, rzekł:

— Już nieledwie w niedźwiedziej jamie miałem ochotę zatańczyć. Ale wtedy siły mi niedopisywały. Teraz jednak mógłbym to w istocie zrobić. Ale powstrzymuje mnie od tego wstyd przed młodymi, którzyby starego dziwaka wyśmiać gotowi. Zaczekam więc, aż który z nich wyprawi weselisko. Wprawdzie nie tu, gdyż brak zupełnie niewiast. Ale przecież wiekować tu nie będziemy. A co się odwlecze, to nie uciecze.

Słowa te wywołały znów wybuch śmiechu.

Roy rozbawiony rzekł:

— Już ja się o to postaram, aby naszemu Whitemu do tego dać sposobność.

Na to odezwał się John figlarnie:

— Pewnie raczej ja będę musiał o tem pomyśleć. Bo do tańca potrzebna muzyka, a co do tego, to Roy ze swą harmoniką prawdziwy mistrz. Ja zaś do tańca tom nie najgorszy, ale muzyk ze mnie taki znakomity jak z osła śpiewak. Roy więc będzie musiał grać na mojem weselu, na własnem zaś grać mu niewypada.

Wesele zaś bez muzyki, to jak pies bez ogona. A więc Roy weseliska wyprawić nie może.

Tu odezwał się Buthley:

— To byłby zbyt srogi wyrok i na poczciwego Roya wydać go nie możemy. Skoro sobie kiedyś upatrzy stósowną towarzyszkę życia, to niech się z Bogiem żeni. A muzyka też się wtedy znajdzie.

— W ten sposób — rzekł White — będę mógł tańczyć na dwóch weselach.

— A może i na więcej — dorzucił Ferman — bo i nasi panowie inżynierowie jeszcze kawalerami.

Na takich żartach i przyjacielskiej pogadance zeszedł ten dzień naszym znajomym bardzo przyjemnie i wesoło.

Miłe odwiedziny.

Powoli nadeszła wiosna.

Pod dozorem inżynierów postąpiły prace w kopalni już dość daleko. Brakło tylko maszyn, które swego czasu zamówiono u agenta wielkiej fabryki z San Francisko.

Miały nadejść na wiosnę. Więc wyczekiwano z niecierpliwością ich przybycia.

Agent dotrzymał, jak się wnet wykazało, danego słowa.

Była znów niedziela.

Po zwykłem nabożeństwie domowem zabierano się właśnie do obiadu, gdy psy głośnem szczekaniem oznajmiły, że ktoś obcy się zbliża.

Było to grono, składające się z trzech osób. W środku kroczył jakiś rosły mężczyzna z długą brodą. Mógł liczyć lat około pięćdziesięciu. Cała jego postawa i ruchy zdradzały człowieka o niemałej inteligencyi. Ubiór zaś, który miał na sobie, świadczył, że musi

być majętnym. Dwaj zaś jego towarzysze czynili wrażenie, iż są jego pomocnikami.

Tak też było w istocie.

Ow mężczyzna z długą brodą był to Mersey, bogaty właściciel kopalni złota z Bonanza-Creek. Towarzysze zaś jego, nieco młodsi wiekiem, byli inżynierami, zatrudnionymi w jego kopalni.

Osobiście nie znali się jeszcze przybysze z mieszkańcami osady w El Dorado-Creek. Ale wnet zawarli z sobą znajomość i przyjazne stósunki.

Ugoszczono gości bardzo serdecznie. Tylko Muramba miał z tem trochę ambarasu, gdyż musiał przygotować na prędce dla nich posiłek, i to możliwie obfity i smaczny.

Goście ci przynieśli bowiem bardzo pożądaną wiadomość, że do Dawson-City nadeszły już maszyny, przeznaczone do kopalni w El Dorado-Creek i to wraz z maszynami, które u pana Lee zamówił także Mersey dla własnej potrzeby.

Uprzejmy właściciel kopalni z Bonanza-Creek oświadczył gotowość podzielenia swej pomocy w przewiezieniu aż dotąd ciężkich maszyn.

— Wam trudno — mówił — ba prawie niemożliwie byłoby je tu przewieźć, gdyż nie macie bawołów, któreby je uciągnąć mogły. A odległość od mojej osady aż do waszej wynosi przeszło dwie mile. Niema też żadnej wygodnej drogi, a to powiększa bardzo trudność transportu. Wam zaś, o ile wiem, zbywa nawet na stósownych do tego wozach.

Na to odrzekł Buthley:

— To prawda. Ściśle biorąc nie posiadamy wcale środków do wykonania takiego

ufrudniającego transportu. Będziemy więc panu za ofiarowaną nam łaskawie pomoc, o którą już agent pan Lee poprzednio wspomniał, bardzo wdzięczni. Pragniemy się też panu według możności odwzajemnić. W tym celu więc przyślemy panu do pomocy wszystkich naszych ludzi, skoro tylko śnieg do reszty stopnieje i ziemia nieco obeschnie, gdyż inaczej pewnie i pańskie bawoły z ciężkiemi wozami nie dałyby sobie rady.

Mersey uznał słuszność tej uwagi i postanowiono jeszcze jakiś czas odczekać.

Skoro nadeszła stósowna praca, porozumiano się z Merseyem i wysłano na spółkę wozy i ludzi do Dawson-City.

Można sobie wystawić, że transport nie odbywał się z łatwością. Lecz pod okiem inżynierów pokonano wszelkie trudności i dowieziono wszystko szczęśliwie na miejsce przeznaczenia.

White, Ferman, Buthley i towarzysze odetchnęli, gdy maszyny były już na miejscu. Długo, bardzo długo na nie czekać musieli, ale ostatecznie ich się doczekali.

Dopiero to teraz panował ruch w kopalni. Co żyło, musiało przykładać pilnie rąk, aby wszystko umieścić, gdzie się należy.

Praca była uciążliwa. Ale każdy chętnie do niej się garnął, gdyż wiedziano, że owoc jaki zbierać z niej mieli, będzie sowitą nagrodą za wszystkie trudy i wysiłki.

Po pewnym też czasie rozlegał się w kopalni ruch i stuk maszyn. Głazy skaliste rozbijano w bryły, a zapas złotego kruszcu z dnia na dzień się powiększał. Kopalnia dostarczała daleko więcej złota, aniżeli przedtem klem, który był już całkiem wyczerpany.

Teraz dopiero wykazało się dowodnie, jak wielką wartość posiadała praca inżynierów, biegłych w swoim zawodzie. A i Buthley, który jako były górnik znał się na rzeczy i był niejako ich prawą ręką, teraz podwójnie się tu przydał.

To też White i Ferman błogosławili tę chwilę, w której się z nim przypadkowo poznali i do swego przyjęli grona.

Jedna tylko rzecz sprawiała im niemały kłopot. Otóż potrzeba im teraz było więcej sił do pracy. Bo kopalnia to nie klem, na którym i mniejsza liczba robotników wystarczała.

Ale i tej biedzie udało się wnet zaradzić.

Zaczęło znów do tych stron napływać mnóstwo ludzi, którzy zimę spędzili w mieście lub z innych stron po raz pierwszy podążyli szukać szczęścia w tej złotodajnej górze.

Ponieważ nie każdy z nich znajdował się w posiadaniu potrzebnych na zakupno własnego klemu funduszy, przeto niejeden za dobrą zapłatą zgodził się do pracy w kopalni.

O ile zaś i to nie wystarczało, miano w Dawson-City wynająć potrzebną ilość robotników.

W tym celu wybrał się do tego miasta White, który pomimo swego wyzdrowienia musiał się jeszcze ciągle oszczędzać i w kopalni tylko lżejsze wykonywał prace.

W podróży tej, która mogła się znów odbyć czołnem na rzece, towarzyszył mu tym razem z pośród białych sam John, a oprócz tego dwóch Indyan, przydanych im do pomocy.

W mieście zabawili dwa dni, gdyż mieli znów sporo sprawunków do załatwienia. Trzeba było zakupić większą ilość żywności oraz różnych innych rzeczy do domowego użytku.

A najwięcej zabiegów sprawiało im wynajęcie większej liczby robotników. Ale i to pomyślnie załatwić się udało, z czego White niemało był zadowolony.

Nugetów ani większych kawałków złota tym razem dla spieniężenia nie przywieziono. Zapas gotówki z poprzednich sprzedaży, zwłaszcza ostatniej, która przyniosła na czysto przeszło sto tysięcy dolarów, wystarczał jeszcze na czas późniejszy.

John i podczas obecnego pobytu w mieście zabawił się wieczorem ta[illegible]mi. Ale był pod każdym względem powściągliwym i postępował bezhagannie. Nie wstąpił też ani na chwilę do tej oberży, w której po znanej ucieczce z osady uwodziciel jego, Sam Buxton, zginął marnie, zabity butelką podczas gry w karty. John omijał nawet zdaleka to nieszczęsne miejsce, które w duszy jego tak przykre i bolesne budziło wspomnienia.

Łodzie miano z sobą dwie, gdyż jedna przeznaczoną była do przewiezienia do El Dorado-Creek najętych nowo robotników.

Całe grono wraz z zakupionemi towarami popłynęło trzeciego dnia do domu i stanęło szczęśliwie u celu.

Praca w kopalni odbywała się wobec zwiększonych liczebnie sił roboczych temszybciej. A skutkiem tego pomnażał się też widocznie i zapas nagromadzonego już złota.

Ostatecznie doszło do tego, że okazała się potrzeba wywiezienia go do miasta celem spieniężenia surowca na gotówkę.

Misyi tej podjął się Ferman z Buthleyem.

Z młodzieńców zabrali tym razem z sobą Roya, a w dodatku dwóch Indyan i kilku białych robotników dla straży.

Pamięć o dawniejszym napadzie ze strony czerwonoskórych rabusiów ze szczepu Dog-Ribbet wymaga zastósowania wszelkich środków ostróżności. A to tem więcej, ponieważ obecna podróż była dalszą, gdyż udano się do miasta Selkirk.

Ztąd też wysłano znów do rodzin naszych starych znajomych listy oraz znaczniejsze kwoty pieniężne. A i nasi nowsi znajomi z osady w El Dorado-Creek dali odjeżdżającym podobne polecenia, w pierwszym rzędzie inżynierowie i cieśle.

Naturalnie korzystano znów z tej sposobności, aby zaopatrzyć się w większą ilość żywności.

Po załatwieniu wszelkich interesów wyprawa nasza wróciła do domu. I tym razem obyło się bez wszelkiego nieszczęśliwego wypadku. Bo chociaż po drodze zginął jeden z worków kawy, nie poczytywano to za zbyt wielkie nieszczeście.

Suszono sobie jednak nad tem głowę, jakim sposobem stać się mogło, gdyż zgubę dopiero później, już po powrocie do domu, zauważono. Zdaje się, iż leżący dość wysoko nad brzegiem czołna worek niepostrzeżenie, zapewnie wieczorem się zsunął. Podczas głośnej mowy zaś nikt nie usłyszał żadnego podpadającego szelestu.

— Nie bierzmy sobie tego zbytnio do serca — pocieszał White swych towarzyszy. — To daleko mniejsze zło, jak rabunek lub rana od niedźwiedzia. Na złocie — Bogu dzięki! — nam nie zbywa, więc stać nas na to, aby przy najbliższej okazyi tę stratę powetować. A i tak trzeba się będzie znów wnet wybrać do miasta, bo zaspokojenie tylu głodnych żo-

łądków przy ciężkiej pracy wymaga częstego zakupna wiktuałów, które tu u handlarzy na miejscu są tak niesłychanie drogie.

Wnet też o tej drobnej przygodzie podróżnej zupełnie zapomniano. Tylko Muramba coś kręcił czasami głową z obawy, że może mu zabraknąć kawy.

Przy pracy chyżo mijały godziny, dnie i tygodnie. A życie w osadzie płynęło zwykłym jednostajnym prawie trybem.

Podobnie miała się też sprawa z całą okolicą, gdzie poszukiwano na licznych klemach cennych nuggetów — z większym lub mniejszym skutkiem. Tylko z tą różnicą, że podczas gdy w El Dorado-Creek panowała trzeźwość i zgoda, miejscami działo się inaczej. Niejeden gambusino czyli poszukiwacz złota trwonił w szynku zebrany owoc swej pracy. A wtedy o spóry i kłótnie nie było trudno. Zachodziły nawet groźne starcia, ba krwawe bójki z bardzo smutnym czasem wynikiem.

Można powiedzieć, że szatan, czychający na zgubę ludzi, ma w wódce wiernego pomocnika, który mu ułatwia osiągnięcie niecnych zamiarów.

Jak już powiedzieliśmy, w naszej osadzie w El Dorado-Creek panowały pod tym względem daleko pomyślniejsze stósunki. Dobry przykład z góry oddziaływał zbawiennie na podwładnych. A White, Fermann i Buthley czuli się z tego powodu nietylko szczęśliwymi, lecz wprost dumnymi, iż ludzie ich tak wzorowo się prowadzili, że rzadko kiedy dawali powód do skargi i nagany.

Obchodzili się też ze swymi robotnikami wprost po ojcowsku. Panował między nimi iście patryarchalny stósunek. A z tego korzy-

stali zacni ci ludzie, aby wpływać na swych pracobiorców umoralniająco i uszlachetniająco. Widoczny zaś rezultat tych usiłowań błogiem napawał ich zadowoleniem. Z drugiej strony i robotnicy umieli cenić dobre chęci swych pracodawców i odwzajemniali się im szczerem przywiązaniem oraz wdzięcznością i tem większą pilnością w pracy.

Nadeszła znów niedziela. Było to już lato. Słońce silnie dopiekało.

Właśnie utartym zwyczajem wszyscy mieszkańcy osady zebrali się na skromne nabożeństwo.

Wtem zawarczał naraz Pluton, a za nim odezwały się chórem wszystkie inne psy.

— Widocznie — odezwał się Ferman — ktoś obcy przybywa.

— Dobrze — dodał White — że będziemy znów mieli w naszem gronie gościa, co tu tak rzadko się zdarza. Będzie więc pewne urozmaicenie.

A Buthley rzekł:

— Przecież chyba łotr żaden do nas nie zajrzy. O jakimś napadzie też mowy być nie może.

Tymczasem przybysze — a było ich tylko dwóch — byli już blisko.

A niewątpliwie duchowny! — zawołał radośnie White. — Zapewne jaki misyonarz, który zwiedza te strony, aby przynajmniej raz odprawić prawdziwe nabożeństwo, którego już tak dawno łaknęliśmy.

— Tak, tak — potwierdził John — widać to po jego ubraniu.

Roy zaś dodał:

A ten drugi mężczyzna to zapewne jego towarzysz podróży, aby duchowny tu samotnie się nie błąkał.

Starsi wyszli spiesznie przed dom i powitali grzecznie przybysza, który był rzeczywiście anglikańskim duchownym, oraz towarzyszącego mu mężczyznę.

Przybyły duchowny, ucieszony tak miłem powitaniem, zabrał wnet miejsce na małej ławeczce, którą mu wskazano, i tak opowiadać począł:

— Ponieważ tu ludzie pałają gorącą żądzą złota, przeto jest obawa, że mogą z czasem zapomnieć zupełnie o Bogu, o duszy, o życiu pozagrobowem i swoich obowiązkach. Mogliby ugrzęznąć całkowicie w materyalizmie, to zaś przyniosłoby im ostatecznie zgubę wieczną. Dla tego, gdy niema tu ani kościołów ani stałych duchownych, towarzystwo misyjne wysyła od czasu do czasu w te strony duchownych, aby poszukiwaczom złota przypomnieć, że głównym celem człowieka jest szczęście wieczne, a na nie życiem religijnem zasłużyć sobie trzeba. W końcu byłem w Dawson-City, a ztamtąd obszedłem różne osady, aby zebrać ludzi z okolicznych klenów, odprawić dla nich nabożeństwo i wygłosić kazanie. Z ubolewaniem jednak zaznaczyć muszę, że wielu nie usłuchało mego głosu. Tych pożałowania godnych chrześcian dla wieczności już prawie za straconych uważać należy. Wreszcie dotarłem aż do was, a zdaje mi się, sądząc z tak uprzejmego przyjęcia, że nie naprożno się trudziłem, i praca moja nie będzie daremną.

— I nie omyliła się wasza wielebność — rzekł White. — Mogę go zapewnić w imieniu

wszystkich białych, którzy znajdują się w naszej osadzie, że nabożeństwo i kazanie, którego brak tak długo dotkliwie odczuwaliśmy, będzie dla nas prawdziwą ucztą duchowną, za którą waszej wielebności szczerze wdzięczni będziemy.

Piękne to były słowa.

Wypowiedziały je usta nie katolika, lecz wyznawcy kościoła anglikańskiego, ale wierzącego człowieka.

Jakże zawstydzają tylu oziębłych katolików, którzy o sprawy religijne, o głos sumienia, o zbawienie wieczne prawie wcale się nie troszczą, myśląc tylko o rzeczach doczesnych, o zbijaniu majątku, honorach i zaszczytach, lub o używaniu zabaw i rozkoszy.

Duchowny po krótkim wypoczynku i posileniu się w gościnnym domu naszych znajomych oświadczył, że po południu odprawi tu nabożeństwo. Wyraził też życzenie, aby uczestniczyć w niem mogło jaknajwięcej ludzi z bliższego sąsiedztwa.

Chętnie spełniono to życzenie.

John i Roy jako najmłodsi oraz kilku robotników rozbiegło się w różne strony, aby zawiadomić gambusinów o przybyciu duchownego.

Wszyscy słuchali po tak długiej przerwie z rozrzewnieniem słów wymownego kaznodzieji. Niejedno dobre postanowienie w duszy słuchaczy było ich następstwem.

Po nabożeństwie ugościli nasi znajomi wszystkich obcych. A długa pogadanka zatrzymała ich aż do samego wieczora w osadzie. Złożono też ładnę ofiarę na dalszą podróż duchownego i jego towarzysza.

Duchowny pozostał w El Dorado-Creek przez kilka dni, gdyż usilnie go o to proszono.

Wreszcie nadszedł czas pożegnania, które wypadło z obu stron bardzo czule.

Duchowny polecił religijnych mieszkańców osady opiece boskiej i powędrował wraz ze swym towarzyszem dalej do Bonanza-Creek. Polecono mu bowiem Merseya, znanego nam już właściciela kopalni, jako człowieka, który przyjmie go z pewnością, jak się to mówi, z otwartemi rękoma.

Zakończenie.

Mieszkańcy osady w El Dorado-Creek długo jeszcze pozostawali pod miłem wrażeniem cotylko opisanych odwiedzin.

Wspominali o nich bardzo często, zwłaszcza w każdą niedzielę, gdy cała gromada toczyła z sobą żywą rozmowę. Ten i ów wyrażał żal, iż nie można było duchownego jeszcze dłużej, najmilej na zawsze tu zatrzymać. Ale uznano to za niemożliwe, gdyż musiał odwiedzić cały ten rozległy okręg, gdzie jego praca misyonarska była również pożądana.

I tak znów upłynęło kilka tygodni.

Krótkie lato zaczęło się już chylić ku końcowi.

Praca odbywała się dalej zwykłym trybem.

Wysłano znów wyprawę do Dawson-City po nowy prowiant. Oprócz tego okazała się potrzeba zakupna dalszego zapasu prochu, gdyż do rozstrzeliwania kamieni i ścian skalistych wiele się zużywało. Niejeden też potrzebował to lub owo z odzieży lub bielizny albo inne miał potrzeby.

To wszystko załatwiano w wymienionem mieście.

Razu pewnegu wybrał się znów z pozwoleniem starszych Roy i John wraz z kilku

młodszymi robotnikami na polowanie. Chodziło o dostarczenie świeżego mięsa, gdyż suszone lub solone, już się wszystkim nieco przyjadło.

Na ludzi potrzeba było mięsa wiele, więc wyprawa łowiecka obliczona była na kilka dni.

O niedźwiedziach tym razem nawet nie pomyślano. Miano polować na jelenie.

No, i młodzi myśliwi wywiązali się doskonale ze swego zadania. Już po trzech dniach wrócili do domu, i to z obfitą zdobyczą.

Przyniesiono aż cztery ubite rosłe jelenie.

Widok tyle mięsiwa, zapowiadającego smaczną pieczeń, wszystkich uradował. Najwięcej jednak cieszył się Muramba, kucharz osady, ponieważ stanowiło to nowy numer w jego arcyograniczonym jadłospisie.

Nawet psy były zadowolone — z tego urozmaicenia w swem pożywieniu, gdy porzucono im pośledniejsze części jelenich wnętrzności.

Uderzyło więc ogólnie tem bardziej, że White wyglądał jakoś nasowiały. Chodził jakby w głębokiem pogrążony zamyśleniu i jakoś wcale się nie odzywał.

Myślano, że może rana, choć już dawno całkiem zagojona, sprawia mu pewne dolegliwości. Lecz przed nikim z tem zwierzyć się z tem nie chce, aby tą wiadomości nie sprawiać towarzyszym przykrości.

Wreszcie Ferman, najlepszy jego przyjaciel, tak go zagadnął:

— Powiedz że nam, mój kochany, co ci właściwie dolega. Ale nie obwijaj nic w bawełnę i wyznaj nam gołą prawdę. Bo że jesteś od pewnego czasu jakoś nieswój i kwaśną masz minę, to rzecz pewna. Jeżeliby mnie moje oczy myliły, to spostrzegli to i wszyscy inni. Więc wykręcać się nie miałoby celu.

Zaambarasował się tem niemało poczciwy White. Poskrobał się po głowie, odchrząknął, milczał jeszcze przez krótką chwilę, ale ostatecznie wypadało dać na to zapytanie jakąś odpowiedź.

Dał ją więc i to w następujących słowach:

— Jeżeli mnie już o to wyraźnie pytacie, z jakiego powodu jestem zafrasowany, to wam to powiem. I to szczerą prawdę, gdyż brzydzę się kłamstwem. Oto zaczyna mnie coraz bardziej trapić tęsknota za rodziną, której tak długo nie widziałem. Noszę się więc z myślą odwiedzenia swoich. Jeżeli zaś zamiar ten wykonam, to pobawię przez dłuższy czas w domu i dopiero na wiosnę — jeżeli Pan Bóg pozwoli dożyć — wrócę do El Dorado-Creek. Przecież tak długo dacie sobie bezemnie radę, zwłaszcza że jestem potrosze inwalidą i nie mogę jakoś tak ciężko pracować jak dawniej aż do czasu, gdy mi szelma niedźwiedzica dała znaną wam pamiątkę. A i dla Roya, sądzę, będzie dobrze, jeżeli po tak długiej rozłące zajrzy do domu. Jeżeli więc ma ochotę, to zabiorę go z sobą.

— I owszem, i owszem rzekł Roy, któremu na zmiankę do domu nagle jakoś ckliwo się zrobiło.

Podobne uczucie owładnęło teraz i resztę naszych znajomych. Wynurzenia Whitego wywarły na nich skutek, jakby działały zaraźająco.

Nawet Buthley, chociaż z natury nieco twardszy, nie mógł się temu uczuciu oprzeć. Nie protestował też wcale przeciw planom Whitego.

A Ferman?

Ferman wystąpił teraz jeszcze z daleko dalej idącym projektem. Zdumieli się prawie wszyscy, gdy po pewnem zastanowieniu tak się odezwał:

— Rozumiem i cenię wasze przywiązanie do rodziny. Sam też bynamniej nie jestem bez serca. I ja kocham swoich gorąco. I ja pragnąłbym zobaczyć ich jaknajprędzej i przycisnąć do serca żonę i syna jedynaka, który teraz już musiał pięknie podrość. Ale co do mnie, to inaczej rzecz sobie wystawiam. Otóż i ja od dość dawna miałem pewien plan, który wam teraz bez ogródki wyjawię. Wszak Bóg poszczęścił naszej uczciwej pracy. Złota mamy wiele, więc i pieniędzy posiadać będziemy poddostatkiem. Co myślicie, gdybyśmy tak naszą kopalnią sprzedali?...

— Niełatwo to będzie — rzekł Buthley. — Bo za bezcen oddać jej nie możemy, aby nie ponieść wielkiej szkody, a tak bogatego człowieka, któryby nam za nasze przedsiębiorstwo jak należy zapłacił, trudno będzie znaleźć.

— A ja wam powiem — odparł Ferman — że o to bynajmniej nie tak trudno. A na potwierdzenie tych słów mogę wam powiedzieć, że mam już nawet na oku ochotnika, który może nabyć naszą kopalnię za stósowną cenę, Jest nim Mersey z Bonanza-Creek. Dowiedziałem się o tem przypadkiem, że niebyłby od tego, aby ją nabyć, gdyż posiada dwóch dorosłych synów. Jeden z nich kończy właśnie nauki jako inżynier, więc dla niego poszukuje odpowiedniego przedsiębiorstwa. A że to człowiek bogaty, który na swej kopalni dorobił się wielkiego majątku, to przecież powszechnie wiadomo. Głośno o tem nietylko tu na miejscu, lecz i w Dawson-City i w Selkirku.

— To prawda — potwierdził Withe. — A przytem to człowiek religijny i dbały o dobro swych robotników, założona przez nas kopalnia dostałaby się w dobre ręce.

Tu zabrał głos Buthley, który dotąd milczał, namyślając się pewnie, jakieby w omawianej ważnej sprawie powziąść postanowienie.

Buthley tak mówił:

— W każdym razie warto udać się do Merseya i porozumieć się z nim. Zresztą właściwie winni mu jesteśmy odwiedziny. Wszak on był już u nas i zapraszał nas do siebie. A odtąd nikt z nas nie był u niego oprócz robotników, którzy byli mu pomocni przy transporcie maszyn, sprowadzonych z San Francisco.

Uznano słuszność tych wywodów i uchwalono, że w najbliższą niedzielę wybierze się do Bonanza-Creek stara trójka, to jest White, Ferman i Buthley.

Uchwałę tę też w oznaczonym dniu wykonano.

Dolina rzeki Bonanza była o wiele szerszą od doliny rzeki El Dorado. Rzeczona rzeka, poboczna rzeki Klondyki, posiada też znacznie większą długość od rzeki El Dorado. Podczas gdy długość koryta ostatniej wynosi tylko około dwadzieścia kilometrów, ma pierwsza blisko pięćdziesiąt kilometrów długości.

Nad brzegiem rzeki wykarczowany był dość rozległy plac z drzew i krzewiny, a na nim wznosiło się blisko tuzin domów większych i mniejszych rozmiarów. Wszystko zaś wyglądało schludnie i dość pokaźnie. Świadczyło to z jednej strony o zamiłowaniu po-

rządku, a z drugiej o pomyślnych stosunkach majątkowych właściciela.

Dla Merseya były odwiedziny naszych znajomych wielką niespodzianką, więc sprawiły mu tem większą radość.

Powitał ich serdecznie i ugościł według przysłowia: czem chatą bogata, tem rada. Ponieważ zaś chata u niego była w samej rzeczy bogatą, a nawet bardzo bogatą, przeto i przyjęcie wypadło, jak na tamtejsze stosunki, bardzo wykwintnie.

Nie brakło dobrego wina, w które piwnica bogato była zaopatrzona. A żona gospodarza, bardzo uprzejma niewiasta, wystawiła tak suty i smaczny posiłek, że poczciwy Muramba ze swą sztuką kucharską musiałby się przed nią schować.

Po poruszeniu spraw ogólniejszej i obojętnej natury, przystąpiono do omówienia interesu, który właściwie naszą trójkę tu dziś sprowadził.

Skoro Mersey dowiedział się o co chodziło, zawołał ucieszony:

— A to panowie przybyliście tu jakby na zawołanie. Podwójnie mi więc jesteście mili. Powiem wam otwarcie, że wybierałem się do was w tym interesie już od pewnego czasu. Lecz powstrzymywała mnie wciąż od tego obawa, że moglibyście mnie posądzać, iż chcę was wykurzyć z waszej osady, aby dostać się w posiadanie kopalni waszej i zbijać na niej majątek, który sami z niego wyciągać możecie. To też kto wie, czy byłbym się wogóle zdobył na poruszenie tej poniekąd nieco drażliwej sprawy. Skoro jednak przybyliście do mnie sami z projektem sprzedaży swej posiadłości, to z zadowoleniem tę ofertę przyjmuję.

Wiem, że kopalnia wasza wielkie przynosi zyski, więc i cena za nią nie może być niską. Jestem człowiekiem uczciwym, przeto nie chcę waszej krzywdy.

Wnet też zgodzono się do ceny.

Mersey oświadczył też gotowość przejęcia przedsiębiorstwa na własność już w najbliższym czasie, a większą część należytości przyrzekł wypłacić gotówką zaraz przy urzędowym zapisie.

Trójka nasza wracała więc do domu w bardzo wesołem usposobieniu. A po powrocie do swej osady, zaczęła czynić przygotowania do podróży, aby jeszcze przed nastaniem zimy dostać się do swoich.

John, jak było można przewidzieć, również zdecydował się na wyjazd do domu.

Opuścił dom rodzinny z pozwoleniem ojca w towarzystwie jego starego znajomego trapera, Fermana, z nim też postanowił wrócić w strony ojczyste. Teraz wprawdzie w charakterze gambusina czyli poszukiwacza złota, a ściśle biorąc, raczej kapitalisty, chociaż w tak młodym jeszcze wieku.

Bo i jemu przypadła w udziale bardzo znaczna suma z nagromadzonej gotówki jako i kwoty, który przy urzędowym akcie sprzedaży Mersey stosownie do swego przyrzeczenia wypłacił.

Co się tyczy Muramby, to rozłąka z białymi przyjaciółmi, których gorąco ukochał, była nader bolesną.

Nie miał ochoty służyć obcym panom i ze swymi kilkoma Indyanami ze szczepu Crow wrócił do ojca. Przyobiecał jednak nowemu nabywcy, że na wiosnę przyśle mu znowu pe-

wną liczbę podwładnych swego ojca do roboty.

Inżynierowie i cieśle pozostali na miejscu aż do pory zimowej. Następnie pierwsi wrócili do San Francisco, a ostatni do miasta, z którego przybyli. Tylko jeden z cieśli, który był nieżonaty, pozostał na stałe w El Dorado-Creek na usługach nowego właściciela kopalni.

Plutona zabrał z sobą Buthley, który wierne to zwierzę bardzo polubił i nie chciał się z nim rozstać.

Pożegnanie wspólne było nadzwyczaj serdeczne. Dobry Muramba popłakał się jak dziecko, gdy mu Roy i John uścisnęli rękę po raz ostatni.

John odezwał się jeszcze w ostatniej chwili do Whitego:

— Gdy będę miał weselisko, to nie zapomnę na nie pana zaprosić. Ale proszę wtedy i Roya przywieźć z sobą, bo nikt tak pięknie jak on nie umie grać na harmonice.

— Jeżeli nas zaprosisz — odpowiedział Roy — to przybędziemy z pewnością. Ale i ty musisz stawić się na moje wesele, gdyż pragnę cię wtedy mieć przy swym boku jako drużbę. Przydasz nam się też jako doskonały tancerz.

Ostatnie słowa wypowiedział White, który tak się odezwał:

— Bogu najwyższemu dzięki za opiekę, którą nas otaczał. Mamy dość pieniędzy, aby żyć wygodnie. Ale ażeby być rzeczywiście szczęśliwymi, żyjmy jak dotąd uczciwie, jak to zalecał nam w swem kazaniu duchowny w El Dorado-Creek.

KONIEC.